ŚWIAT

1 zł

Nr. 52. 30 GRUDNIA 1933 ROKU



PRZYMUS PROWADZENIA KSIĄG HANDLOWYCH



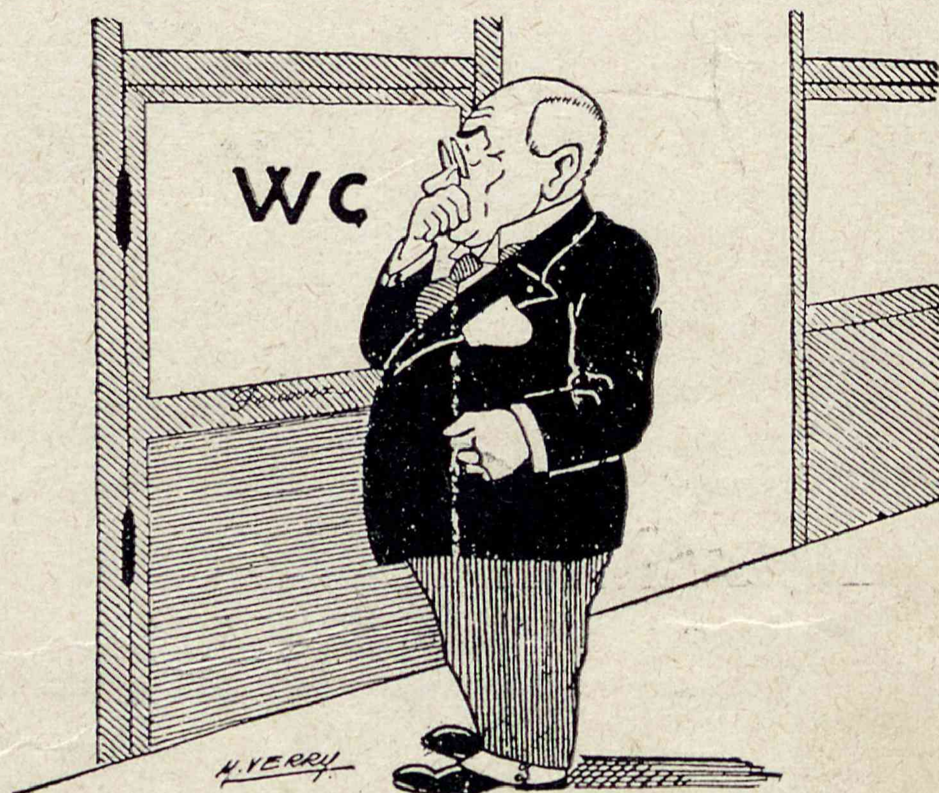
— *Dałbym wam, dziadku, 5 groszy, ale musicie mi wystawić pokwitowanie.*

PRZYTOMNY



— *Jaką datę dziś mamy?*
— *Zobacz na swoim dzienniku.*
— *Niemożliwe: to wczorajszy.*

ZMIENNOŚĆ RZĄDÓW WE FRANCJI



— *A jeżeli rząd upadnie właśnie w tym czasie?... Wolałbym coprawda przewrócić się gdzieindziej...*

(Gringoire)

W roku 1934-ym a 29-ym swego istnienia

»ŚWIAT«

zachowując swój pierwowzór tygodnika bezpartyjnego i niezależnego dla inteligencji polskiej, wprowadzi szereg udoskonaleń celem unowocześnienia swego typu.

»ŚWIAT« zwiększy zasięg swoich stałych działów, ażeby całe nowoczesne życie Polski i świata znalazło należyty wyraz.

»ŚWIAT« będzie omawiał w sposób rzeczowy wszystkie ważniejsze sprawy i wydarzenia krajowe i zagraniczne.

»ŚWIAT« w każdym zeszycie będzie dawał kompleks artykułów i feljetonów, poruszających tematy najbardziej aktualne.

»ŚWIAT« będzie zamieszczał wrażenia z podróży, wspomnienia, nowele, powieści oryginalne i tłumaczone, artystycznie ilustrowane.

»ŚWIAT« pod względem graficznym będzie dążył do wprowadzenia najnowszych udoskonaleń techniki.

»ŚWIAT« w gronie swych współpracowników posiada zawsze najświetniejsze pióra publicystyczne i literackie.

»ŚWIAT« poleca się gorąco swym wiernym i życzliwym Czytelnikom.

»ŚWIAT« zachowując wszystkie dotychczasowe premja, przygotowuje szereg konkursów z cennemi nagrodami.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 12

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 12
ROK XXVIII • NR. 52 • DNIA 30-go GRUDNIA 1933 ROKU

LEON CHRZANOWSKI

DAJCIE IM DACH

Noc. W zaułkach wielkiego miasta snują się jakieś cienie. Zapóźniony przechodzień zmuszony do peregrynacji niespokojnie się ogląda. Stara się nie zetknąć z cieniem. Każdy cień wydaje się niebezpieczeństwem. Możliwość zaczepki, zwady, w najlepszym razie potoku wyzwisk ukazuje się w postaci tego snującego się cienia. To widzi, to przeczuwa wyostrzona wyobraźnia zapóźnionego przechodnia.

Nie każdy nocny cień jest przestępcą. Nie każdy nocny cień jest łobuzem, ulicznicą, awanturnikiem.

Są cienie co się snują dzień i noc.

Są cienie stające w dramatycznem znużeniu w blasku latarni i kulące się pod murem w złocie prażącego słońca.

Cienie nocy i dnia.

Cienie bezdomne. Cienie bez pracy.

Tragedja założonych rąk! Tragedja rąk opadających i wyczerpanych — poszukiwaniem pracy.

„Będziesz pracował w pocie czoła" — brzmiało to jak wyrok, jak potępienie. Dziś o tym wyroku śnią miljony.

Dziś ten pot wydaje się dla miljonów błogosławieństwem! Dziś słowa „bez pracy" i „bez dachu" łączą się w przeklętym rytmie.

Cienie nocy i dnia.

Często zatłaczają schody urzędów miejskich i państwowych, jedni krzyczą, wołają, inni proszą, jeszcze inni błagalnym wzrokiem, półniemą prośbą pną się ku współczuciu zbiorowości ludzkiej — takim lub innym urzędem personifikowanej.

— Dajcie nam dach — wołają ich usta, ich oczy, ich zziębnięte, zmożone postacie.

Dajcie im dach! Dajcie im jaknajprędzej dach — zawoła każde najmniej wrażliwe, najmniej współczujące serce!

I w tym momencie w każdym urzędzie, w każdym zakamarku władzy rodzi się potworek pomarszczony i dokuczliwy — rodzi się troska, rodzi się poczucie ograniczonej możliwości.

Na każdym biurku, w każdym referacie szeleści, dopomina się, wyrywa wykrzyknikami, podkreśleniami czerwonym ołówkiem, kolumnami cyfr — zawodzi, szemrze, szeleści — troska.

Jej rozmiary i waga każą zamykać na trzy spusty odruchy serca, jej rozległość każe sztuczną oziębłość i twardość stosować tam — gdzieby dłonie chciały dawać bez końca.

Dajcie im dach!

A tu dachy się walą lub rysują się ściany. Widmo przymusowej eksmisji — ze względów bezpieczeństwa — zjawia się jako nowe uzupełnienie klęski.

Warszawa zna ją jak każda współczesna stolica. Ludzie bez dachu są i byli troską jej władz municypalnych, tak samo jak i władz Paryża, Londynu, Moskwy, Rzymu, Berlina.



Jakże łatwo w tej walce zdobywać pióropusz obrońcy ludu i jak trudno coś trwalszego mu stworzyć.

Na widok zrozpaczonej matki nie mogącej nakarmić głodnego i zziębniętego dziecka, na widok w spazmie skurczonego oblicza staruszki, czyjeż serce nie drgnie, nie zareaguje? Jakże łatwo jest rzucić wówczas oskarżenie bezczynności tym co trosce nie mogą podołać, bo przekracza ona możliwości jednego, nawet najbogatszego miasta.

Na peryferjach Warszawy widzieliśmy nie tak dawno jeszcze koczowiska ludzkie, przypominające czasy prymitywne. Pod arkadami mostów spotykaliśmy zaimprowizowane izby. Eksmitowane ruchomości krążyły na wózkach po Warszawie. W klatkach schodowych osiedlały się rodziny — wyzute z dachu.

Pomoc społeczna, pomoc miasta — robiła ile mogła. Wyrastały niedostateczne, prowizoryczne baraki. Z czasem budowle solidniały, stawały się „stalsze". Program ratowniczy w zetknięciu z rozmiarami klęski krzepł — ale ani na papierze, ani w praktyce nie był w stanie sprostać potrzebie.

„Dachy" przybywały — ale i „dachy" nikły.

W drugiej połowie grudnia 1931 r. oddano do użytku baraki na Annopolu, przybyły lub powiększyły się osiedla „Żoliborz", „Koło", „Leszno", „Polus". — Czasem przypominały o sobie jakimś wybrykiem, czasem koniecznością interwencji policyjnej — czasem statystycznym plusem wykazującym, iż dzięki nim ilość bezdomnych cieni zmalała.

Patrząc wstecz i rzucając spojrzenie przed siebie — dziś stolica i jej municypalność mogą sobie powiedzieć: „zrobiono wiele" a jednocześnie dodać „jakże zrobiono mało". Bo kroplą — przysłowiową kroplą — jest to, czego dokonano, wobec tego, co o czyn wytężony jeszcze woła.

Pozornie dla mieszkańca dzielnic śródmieścia kryzys mieszkaniowy minął. Sublokator dziś przestał być meblem (a często on jest panem), za 7 i 8 pokojowe mieszkania nie trzeba płacić odstępnego, gospodarz domu poznaje już swych lokatorów — a jednak kryzys ten trwa, troska o brak „dachów" istnieje, zaś bezdomni choć przestali być legjonem są jednak jeszcze zastępem.

Lokale średnie — 5-cio, 4-ro, trzypokojowe są jeszcze poszukiwane, a nawet „wykupywane". Niektórzy obecni właściciele trzypokojowi — zredukowani i przeniesieni do armji dramatycznie założonych rąk, sami się eksmitują ze swych mieszkań, szukając *izb* płatnych czy to w kolonjach miejskich czy to na peryferjach w domkach i ruderach.

Wskutek tej degrengolady wzmógł się kryzys na mieszkania i lokale małe. Jeden pokój z kuchnią, dwa pokoje — to dziś najcenniejsza zdobycz. Naturalny przyrost ludności, stały magnes stolicy ściągającej z całego państwa zarówno elementy bardziej przedsiębiorcze, jak i wykolejeńców, rozumujących, że „przecież pod bokiem rządu, w bogatej(?) stolicy nie zginą i łatwiej znajdą pomoc" — wszystko to wzmaga popyt na małe mieszkanka.



Rzemieślnik co ma pracę trzyma się mieszkania rękami i nogami — ten, który ją traci, początkowo zaludnia swą izbę, a gdy już nie może wytrwać, staje się koczownikiem, staje się cieniem nocy i dnia — dopóki opieka społeczna nie znajdzie mu izby lub kąta w baraku lub domku samodzielnym.

Eksmisje za niepłacenie komornego powiększają ten element. Są to te „nieludzkie" eksmisje. Ale obok nich istnieją inne „ludzkie" dokonane przez urząd Inspekcyjno - Budowlany. Eksmisje z lokali zagrażających życiu mieszkańców. Eksmisje „ludzkie" z domów niebezpiecznych, ponieważ z racji zaniedbania remontów, uniemożliwionych wskutek niepłacenia komornego — ściany się rysują, dachy przeciekają, budowle grożą zawaleniem.

Błędne koło.

Ale niestety toczące się nadal i ciągle. W okresie pierwszego kwartału tego roku umieszczono (do 1 kwietnia) 1052 rodziny czyli prawie 5000 osób — a była to największa liczba bezdomnych, jaką w schroniskach miasto umieściło w porównaniu z analogicznemi okresami innych lat.

Mimo wiosny — sytuacja tegoroczna już w maju się pogorszyła. Już wówczas musiano powstrzymać lokowanie bezdomnych wskutek przeludnienia schronisk.

Wnet powiększyła się ilość cieni słaniających się w dzień i w nocy po skwerach i zaułkach.

Tak było w maju — miesiącu kwiatów i słowików.

Gorzej się dzieje w tych okresach, gdy kwiaty są tylko na szybach źle opalonych mieszkań i gdy nawet te mroźne kwiaty są objektem pożądania tych, co ani własnych okien, ani szyb nie posiadają.

Jednym z kapitalnych braków akcji społecznej było niedostosowane do rozmiarów klęski budownictwo. W pierwszych latach sądzono, że bezdomność jest skutkiem wojny, ilości zrujnowanych domów i mieszkań, napływu reemigrantów, niedostosowania Warszawy do roli stolicy wielkiego państwa.



Budowano „prowizorycznie", obliczając na krótkie sezony bezdomności. Późniejszy ruch budowlany kooperatyw poszedł raczej po linji mniej lub więcej luksusowych willi i domków. Budowano kooperatywy „na własność" — posiadacze jednej, dwuch izb w śródmieściu chcieli mieć na krańcach przynajmniej trzy. Mieszkań małych nie przybywało — mieszkańców do nich przybywało stale.

Zło istnieje nadal. Klęskę w pewnych momentach poskramiano, opanowywano. Municypjum stołeczne zrobiło wiele — ale wysiłek, pomysłowość, akcja musi iść dalej, naprzód. Sprostać wszystkim potrzebom ludności t. zw. dawniej „niestałej" — miasto nie może. Stolica przyciągająca bezdomnych z całego państwa — mimo wszystko nie może być ich centralą. Lub jeśli być nią musi, pomocy od innych osiedli i władz może i ma prawo żądać.

Inicjatywa społeczna też winna swemu miastu w tym zakresie iść z pomocą. Zapóźniony przechodzień, spieszący do pracy urzędnik, dziecko do szkoły biegnące, nie powinni spotykać cieni ludzkich, cieni dni i nocy — cieni bez dachu, bez swego kwiatu na oknie źle opalonego mieszkania. Tragedja założonych rąk, tragedja człowieka bez dachu, wymową swego milczącego bólu nawołuje do walki.

Zrobiono wiele, dokonano wiele. Klęska trwa.

Wobec nadchodzącego Nowego Roku wszystkim naszym Czytelnikom, Prenumeratorom, Współpracownikom i Przyjaciołom zasyłamy najserdeczniejsze życzenia

BRUNO WINAWER

Literaturę trzeba przewietrzyć

Przyrodnicy odkryli — stosunkowo dość późno — rzecz bardzo ważną i ciekawą: życie w naturze ma równowagę przeraźliwie „niestałą". Byle zmiana dekoracyj i jakieś nieprawdopodobne konflikty powstają w świecie. Olbrzymie góry mięsa — mamuty — giną raptem, dorodne okazy marnieją, znikają... Coś się rozwija, coś znów przemija...

Ktoś niegdyś przywiózł dla zabawy do Australji roślinę z gatunku kaktusowatych — opuncję. Owa opuncja upodobała sobie widać grunt australijski, zdobywała — jak Aleksander Macedoński — jedne za drugiemi kraje, prowincje, obszary, kpiła z ognia i żelaza, zwyciężała, aż wreszcie uczony pewien wpadł na pomysł, że trzeba jej przeciwstawić *naturalnego* odwiecznego wroga, pewną liszkę z pewnego gatunku — zoologicznego — o dość długiej nazwie (cactoblastis, przepraszam). Od tej chwili opuncja zna mores.

Tu się rozpanoszyła roślina, a czasem bywa odwrotnie: robaczek, mszyca, przywieziona z obcych krajów, szerzy wśród roślin spustoszenia straszne niczem horda Hunnów i Wandalów. Muszka owocowa niszczy bez pardonu ogrody miljonerów na Florydzie. Potężna Anglja drży przed niedużym owadem, który się nazywa „chrząszcz z Colorado" i zżera kartofle. Kraj cały może wygłodzić — szkodnik jeden.

Duży to skok od kartofla do literatury pięknej, ale zdaje mi się, że i w tej odległej dziedzinie moglibyśmy skorzystać z doświadczeń przyrodniczych. Wydawcy krajowi i zagraniczni, poeci, pisarze narzekają chórem, że książka ginie, że czytelnik jest coraz rzadszy, rzadszy niż żubr w puszczy, niż ptak „abu - makrib". Znika poprostu, jak bizon i niektóre wieloryby. Fachowcy oskarżają — i przy tej sposobności — radjo, kino, gramofon, cywilizację mechaniczną. Oczywiście — technika zmieniła „klimat", te i owe okazy mają dziś walkę o byt utrudnioną. Czytelnik przeniósł się do kina, a widz teatralny do basenu i na boisko. To prawda.

Ale czy piśmiennictwo nie ma wypadkiem innego wroga, *wewnętrznego*, czy literatury nie gnębi aby jakiś „chrząszcz japoński", motylica, pasorzyt, filoksera?

Owszem. Tak! Od wielu lat plenią się w księgarniach, bibljotekach, czasopismach bardzo dziwaczne stwory, a my z niemi walczyć nie umiemy czy nie chcemy. Strach nas oblatuje czy co...

Postanowiłem ogłosić — może przedwcześnie — kilka spostrzeżeń własnych.

Okaz pierwszy: *wodoląg* albo *wodolej* literacki. Nawet w okresie gwiazdkowym rozpiera się szeroko na półkach księgarskich, na ladach i w witrynach. Wyróżnia się tem, że dzieła wybitne żuje i przetwarza na przeraźliwie grube „studja". Czasem w czterech olbrzymich tomach zamyka „życie i dzieła" autora kilku krótkich poematów. Poco są te „studja" — nikt nie wie. Napisano przecież setki foljałów o Szekspirze, ale jego dramaty grają z powodzeniem w teatrach ludowych, na scenach amerykańskich, gdzie publiczność tak mało wie o tasiemcach literackich, że wywołuje autora „Hamleta" po przedstawieniu. Pisano aż do znudzenia o Dickensie, a rozumieją go nieletnie dzieci.

Wodoląg, jeżeli nie fabrykuje „studjów", pstrzy gdzie może dzieła mistrzów odsyłaczami, przypisami, usiłuje własnym tekstem zagłuszyć Mickiewicza. Stawia cyfry przy najprostszych słowach, odwraca uwagę czytelnika, paskudzi cichaczem każdą stronicę.

Okaz drugi — *sprzeka* — *pieniacz* albo *polemista*. Trochę podobny do poprzedniego, ale o ile tamten rzuca się przeważnie na zmarłych i z nich żyje, ten atakuje żywych. Jeżeli gdzie znajdzie myśl śmielszą, ideę oryginalniejszą, siada natychmiast i wszczyna t. zw. polemikę. Wydziela z siebie jakieś nieznośne argumenty i to tak długo, dopóki ofiara — zajęta zazwyczaj już innemi sprawami — nie zostawi go samego na placu boju. Wtedy hałaśliwie otrąbuje zwycięstwo. Kiedy tak zatrąbi z kilkaset razy, zyskuje miano „znawcy". Na czem się zna — nikt nie wie. Jest przeważnie pozbawiony smaku, węchu, nie widzi nic małemi oczkami — pasorzyt. Ale wybierają go do akademji i zapełnia czarną mazią całe kolumny czasopism literackich.

Spokrewniony z poprzednim, choć rozmiarami siedzenia większy, jest *głowonóg-filozof* albo *mątwa-kałamarnica*. W dawnych czasach, kiedy nauki przyrodnicze kiełkowały zaledwie nieśmiało, wydawało się, że materjał badacza — Kopernika, Newtona, Galileusza — przejść musi przez ręce i mózg figury centralnej — myśliciela. Dziś wiedza przyrodnicza wyzwoliła się, kroczy bez niczyjej opieki własnemi drogami, ale pozostał pewien zwyrodniały, cofnięty w rozwoju typ solitera. Pisze o „metodzie", o „śmiechu", o „światopoglądzie", buduje teorje estetyczne, zasnuwa gęstą nudą piśmiennictwo.

Nie badaliśmy dotąd — metodami laboratoryjnemi — szkodników literackich, mówiliśmy sobie o „molu książkowym", nie nadając tym słowom właściwego — tragicznego — znaczenia.

Nadszedł kryzys — coś jakby przewrót geologiczny — i nagle dostrzegamy, że pasorzyt stoczył, zżarł literaturę do cna. Próchno się z niej sypie i trociny. Wydawca nie chce drukować nowel, bo tego nikt nie czyta, nie chce drukować wierszy, bo tego nikt nie uznaje, nie może wydać komedji — dramatu, bo i tego nikt nie kupi.

Ale dziwnym trafem zawsze znajdzie się nakładca na potwornie grube tomisko studjów, na „życie i dzieła", na zapszrone badania. Gutenberg oddał nam złą przysługę, odsunął twórcę, rozwinął nudziarza. Państwa, gminy, szkoły, rodzice, wychowawcy otaczają najczulszą opieką stosy bibuły, dajemy dzieciom na gwiazdkę trociny w skórzanej oprawie.

Od roku już prawie staję co niedziela przed mikrofonem radja. Mam wrażenie, że oddycham innem powietrzem. Słowa moje — tak jak to bywało ongiś, w zaraniu dziejów — docierają wprost do słuchacza, muszę mówić krótko, zwięźle, bez zawijasów stylistycznych. Nie ginę w stogach drukowanych szpargałów. Kiedy mnie kto pyta, jak napisać artykuł naukowy, radzę: niech pan pisze, jakby pan miał mówić do radja...

Jest znów, jak ongiś, przed wiekami — miejsce na wiersz, na krótką scenkę, na djalog, na dowcipną anegdotę, na myśl i parabolę. Niema miejsca przed mikrofonem na wydzieliny wodolejów, sprzeków, głowonogów. Może to jednak dobry wynalazek?

Może ów „eter", o którym się tyle mówi i tak mało wie, jest właściwie środkiem dezynfekcyjnym?

Może doprawdy piśmiennictwo trzeba było po wiekach przewietrzyć?



Wiosenne polowania w Porohońsku. Wyjazd łódkami z przystani parkowej: Stefan Krzywoszewski, Juljan Ejsmond

STEFAN KRZYWOSZEWSKI

Moi towarzysze—myśliwi

(Z wrażeń i przeżyć łowieckich)

IV.

Liczba myśliwych ze świata literacko-artystycznego zmniejszyła się bardzo po wojnie. Jako wyborny myśliwy zapowiadał się Juljan Ejsmond, utalentowany poeta, syn Franciszka. Pasja myśliwska ogarnęła go żywiołowo. Zaniedbał dla niej nawet w znacznym stopniu literaturę. W sztuce strzeleckiej czynił szybkie postępy; kierownicze stanowisko w referacie łowieckim Min. Rolnictwa i w redakcji „Łowca Polskiego" pogłębiały w tem samem tempie jego kompetencje. Był na polowaniu miłym i łatwym towarzyszem, dobry humor nie opuszczał go nigdy, ani chęć do rozmowy. Pozostawił sporą ilość utworów nowelistycznych, osnutych na tematach myśliwskich.

Gdy Rabskiego zabrakło, moim stałym towarzyszem polowań w Skłótach stał się Kazimierz Dunin-Markiewicz, z którym łączyła mię bardzo dawna i zażyła znajomość. Blisko pięć lat spędziliśmy równocześnie w Paryżu. Markiewicz uprawiał kunszt malarski, ja — terminowałem w literaturze. W życiu polskiej bohemji artystycznej, która wtedy w Paryżu była liczna i dobrze obsadzona, braliśmy obaj żywy udział.

Traf chciał, że ja go właśnie na balu w Akademji malarskiej Colarossiego przedstawiłem bardzo cienkiej i wysokiej angielce, która również plamiła wąskie ręce farbami. W pół roku później Markiewicz pojął ją za żonę i zaniedbana w stroju malarka, kręcąca się wciąż po Paryżu na rowerze, okazała się córą arystokratycznego i zamożnego rodu irlandzkiego. Rychło potem nastąpiła inna niespodzianka: p. Konstancja Markiewiczowa, która dotąd była zdecydowaną patrjotką angielską, stała się płonącą ogniem i żarem patrjotką irlandzką. Zabrała męża na stałe do Dublina, całą duszą przyłączyła się do irlandzkiego ruchu narodowego, zaprzepaściła się w spiskach i sprzysiężeniach. Wielokrotnie była więziona, parę razy groziła jej śmierć. Nic nie zdołało zachwiać nieustępliwego uporu tej wiotkiej, bardzo smukłej blondynki o niebieskich, wyblakłych oczach.

Spotkałem ją raz w tym okresie i przypomniałem:

— Pamięta pani, jak kiedyś bronić musiałem wobec niej praw irlandczyków do własnego, narodowego życia?

— Nigdy tej rozmowy nie zapomniałam, — odrzekła.

Na owym balu u Colarossiego zaproponowała mi, żebym z nią zatańczył.

— Pani jest o głowę wyższa odemnie. Sprowadzę pani tancerza, który dorówna jej wzrostem.

Istotnie Markiewicz pasował do niej doskonale. Mieli wtedy wspólną pasję do malarstwa. Pozatem trudno było sobie wyobrazić większą rozbieżność umysłowości i usposobień. Markiewicz, niewątpliwie utalentowany i bystry, do zabaw wszelkiego rodzaju towarzysz niezrównany, nadto cenił łatwe i przyjemne strony życia, aby w uciążliwych walkach o wolność narodu irlandzkiego dotrzymywać żonie towarzystwa. Raczej przechylał się na stronę jej rodziny, zamieszkującej Anglję, gdzie zapraszano go do lordowskich rezydencji na gorouse'y i przepiórki. Rozszedł się też z Kon-



Wyjazd na polowanie w Skłótach: Mieczysław Fijałkowski, Stefan Krzywoszewski, dyr. Rotkel

stancją po 10-ciu latach małżeństwa. Niezadługo potem „hrabina" Markiewicz stała się postacią historyczną, jedną z czołowych przywódczyń irlandzkiego ruchu niepodległościowego. Nie zdziwiłbym się zgoła, gdyby w Dublinie postawiono jej pomnik. Markiewicz wrócił do kraju, zaniedbał malarstwo, przerzucił się do dziennikarstwa, i gdy miał czas i mógł, chętnie z fuzyjką wyruszał na rodzime zajączki i kuropatwy.

Ten ogromny, atletycznej budowy dryblas, ze śmiejącemi się stale oczyma i zawsze świeżym, choć prawie zawsze rozpustnym dowcipem, zawsze pohopny do kieliszka i do hulanki, posiadał fantazję o niebywałym rozmachu, był niewątpliwie jedną z najbardziej charakterystycznych postaci naszej cyganerji ostatnich lat. Znał całą Polskę i cały świat. Zapas jego anegdot był niewyczerpany. Również niewyczerpanym był zasób jego osobistych wspomnień, tylko że on sam nie rozróżniał dokładniej, co było w nich autentyczne, a co wylęgło się w bujnej wyobraźni ukraińskiej. „Życie i sprawy Kazimierza Dunin - Markiewicza", gdyby chciał je spisać jego bliski przyjaciel, Kornel Makuszyński, mogłyby być książką rozkoszną.

Cztery czy pięć lat z rzędu polowałem z Markiewiczem u pp. Fijałkowskich. I na niego jednak przyszedł kres. Przed dwoma laty zaczął ustawać w kartoflach i burakach, bo brakło mu tchu; przed rokiem już został we dworze, gdy ja ruszałem w pole. W parę miesięcy potem przeniósł się na tamtą stronę...

. . . .

I jeszcze jeden kochany towarzysz myśliwy, z czasów powojennych, ten, który otworzył przedemną tajemnice kniei litewskiej i poleskiej, rozlewów pińskich. Kamil Mackiewicz! Upodobania miał podobne, jak Markiewicz, z którym zresztą niejedną noc warszawską przepił. Jakże odmienne jednak były indywidualności tych dwóch pierwszorzędnych bohemów!

Mackiewicz pochodził z rodziny szlacheckiej, osiadłej zdawien dawna na Żmudzi. Szeroki gest i gaskonady Mackiewicza miały rozpęd niezmierzonych równin ukraińskich. Kamil Mackiewicz kochał las, — las litewski czy poleski, mniej lub więcej zapuszczony, tu i owdzie mokradłami zabagniony, — dzikie mszary i rojsty, gdzie przed psem zrywają się z djabelskim jazgotem pardwy, gdzie na przelotach można natłuc co niemiara dubeltów, — rozlewy pińskie, raj kaczek wszelkich gatunków i wielkości. Polowania podmiejskie na hodowaną troskliwie zwierzynę wydawały mu się raczej pretekstem do wesołego śniadania, niż zabawą, godną rzetelnych myśliwych. Dobrze się czuł dopiero, gdy znalazł się na pustkowiach kresowych, czy to było gdzieś nad Dzisienką, czy nad Bobrikiem, czy poprostu w Duniłowiczowskich lasach. Zające? Tak, ale z ogarami. Przedewszystkiem jednak wilk, ryś, dzik, głuszec... Dobrze średniego wzrostu, mocno związany, nie był urodziwy. Z jasnych oczu świeciła szczerość i prawość. Dusza to była szlachecka,



Pułk. Miedziński przy zabitym odyńcu

brzydząca się merkantylizmem wielkich miast. Nie umiał handlować swoim niepospolitym talentem. Nie potrafił zresztą rysować na zamówienie. Gdy temat go poniósł, ołówek jego czy piórko dokazywały cudów. Nurtowała go do końca nieodparta tęsknota za wioską rodzinną, do której nie wolno mu było wrócić.

Z licznych wspólnie przeżytych polowań na Litwie, Polesiu i Pińszczyźnie utkwiło mi w pamięci jedno wspomnienie. Polowaliśmy na mokrych rojstach, gdzieś za Duniłowiczami. Pardwy i cietrzewie wlokły nas nielitościwie po grzęskich ługach, gęsto poprzecinanych krętą rzeczką i gęsto zarośniętemi kanałami. Szliśmy szeroką sztrajfą, pilnując się bacznie przewodników, bo trzęsawiska obfitowały w skłonne do pękania „kożuchy", a utajone w trzcinach kanały bywały zdradziecko głębokie. Powodziło mi się nieźle, bo zabiłem kilka pardw i cietrzewi, i poraz pierwszy — parę dubeltów. Mackiewiczowi za to nie szło. Tembardziej zapędził się za psem, który kłusem gonił uciekające na piechotę cietrzewie. Ale wyżeł, choć krwi niemieckiej, był lżejszej kompleksji, a Mackiewicz ważył powyżej stu kilo.

Nagle słyszymy rozpaczliwy krzyk:

— Ratujcie!

Szukamy wzrokiem. To Mackiewicz wysforował się o jakieś sto kroków, przerwał kożuch, i już do ramion tkwi w trzęsawisku.

Sto kroków, — na łące wielkopolskiej lub gdzieś na Kujawach, sprawa „pojedyncza". Ale na tym przeklętym mszarze, gdzie szatan z czarownicami po nocach hula, każdy krok wymaga rozwagi i wysiłku. Gdyśmy dobrnęli do Mackiewicza, oczy mu już wyłaziły na wierzch, twarz miał czarną od błota, wyglądał jak potwór Böcklinowski... Ja zresztą też po drodze wpadłem do wody po szyję.

Przemoczeni, unurzani w czarnej mazi, wracaliśmy do Duniłowicz w zimny przedwieczerz. W dzień słońce doskwierało, o zmierzchu nastał dojmujący chłód. Marzliśmy na bryczce nieprzytomnie; brakło nam cieplejszych okryć, a w manjerkach wódki. Ale za to gdyśmy dojechali do Duniłowicz, z dreszczami, które biegały po plecach! O Kamilu! Tego wieczora i ja poszedłem za twoim przykładem, — i sprawdziłem, jak świetnem lekarstwem na polowaniu bywa czasem alkohol w większych ilościach.

. . . .

Pułk. Miedziński, b. minister a obecnie naczelny redaktor „Gazety Polskiej", jest myśliwym gorącego temperamentu. Szczupły, lekki, w ruchach i w strzale szybki. Dziki zwierz naszych lasów, spotykając się z nim oko w oko na łowieckiej rozprawie, odczuwa prawdopodobnie wątpliwości, czy to nie sam Mefisto raczył pojawić się w kniei, by zrobić ład ze złośliwym odyńcem lub nadto awanturniczym bykiem — jeleniem.

. . . .

Myśliwym nie potrzeba szumnych wezwań, jak to proletarjuszów wszystkich krajów, aby się solidarnie łączyli. Wyczuwają się wzajemnie, znienacka padnie krótkie pytanie: — Pan myśliwy?, i nagle potoczy się rozmowa ożywiona i poufna, jak gdyby ci dwaj ludzie, przed chwilą zgoła sobie obcy, zna-

li się od wielu lat. Jakaś więź tajemna, świadomość wspólnych umiłowań i wiara w rzetelność, rycerskość i karność w dobrych obyczajach, które wraz z szybkością decyzji winny być właściwością każdego prawego myśliwego!... Żaden aferzysta, chytry karjerowicz czy inny wydrwigrosz nie zrozumie nigdy tego wysiłku i trudu, jakiego wymaga podejście głuszca na toku lub jelenia w Karpatach na rykowisku. Każdy z nich będzie wolał wylegiwać się w miękkich i wygodnych piernatach, niż marznąć w puszczy, wspinać się po stromych zboczach gór, tonąć po pas w lodowatych bajorach, — dlatego tylko, aby zdobyć trofeum, które tak łatwo nabyć można u miejskich handlarzy.

Prawdziwy myśliwy odczuwa powab i czar przyrody i jej życie głębiej. Zwycięstwo nad trudnym do podejścia zwierzem staje się zwycięstwem człowieka nad elementarnemi żywiołami. Jest próbą sił. Jest reminiscencją odwiecznych instynktów, śladem dziedzicznego obciążenia po przodkach troglodytach. Jest ucieczką od sztucznie skomplikowanego życia urbanistycznego do kategorji prostych, bezpośrednich. Strzelać celnie może nauczyć się prawie każdy burżuj. Myśliwym może zostać tylko pewien typ człowieka. Stąd może płynie oczywistość, że przyjaźni, zawarte przy myśliwskiem ognisku i na wspólnych noclegach na sianie lub w łódce, bywają tak trwałe i serdeczne.

Świat gospodarczy

„Cukrowa choroba" Polski

Dla zaspokojenia w Polsce konsumcji cukru, nawet wyższej od obecnej, wystarczyłaby połowa istniejących cukrowni. Dziś mamy cukrowni dwa razy tyle, niż potrzeba. Dlaczego? — Ponieważ przed wojną na tem terytorjum, należącem do trzech różnych organizmów ekonomicznych, było ich tyle. No, i dlatego, że w r. 1919 nie znalazła się w Polsce władza, która pozwoliłaby odbudować tylko taką ilość cukrowni, jaka potrzebna jest dla nowego państwa. Gdyby tak postąpiono, oszczędzonoby miljony, które możnaby było użyć na przedsiębiorstwa istotnie potrzebne.

Oczywiście, skurczyłby się obszar pól buraczanych; lecz ziemianie w ciągu lat ubiegłych znaleźliby inne kultury, opłacające się nie gorzej od buraków. Gdyby swego czasu została dokonana taka transplantacja kapitału, mielibyśmy ulokowany w cukrownictwie kapitał dwa razy mniejszy, niż dzisiaj. Ponieważ jednak tak się nie stało, więc dziś cały kapitał ulokowany w cukrownictwie wymaga, aby dano mu możność pracy.

Państwo tym wymaganiom idzie na rękę, zezwalając na dumping cukru zagranicą: w Polsce konsument płaci za cukier przeszło dwa razy tyle, niż powinien, a holendrzy i anglicy dostają polski cukier poniżej kosztów produkcji. Różnicę pokrywa polski konsument.

Tym sposobem istnieje paradoksalna sytuacja: gdybyśmy, nie eksportując wcale, posiadali tylko połowę istniejących cukrowni, cukier w Polsce byłby coś o połowę tańszy.

* * *

Słuszne jest twierdzenie, że sumy nadpłacane za cukier umożliwiają idącym cukrowniom danie pracy robotnikom, urzędnikom, inżynierom i t. d. oraz opłacania odsetek od zaangażowanego kapitału. Lecz niemniej słuszne będzie twierdzenie, że w takim razie gros sum nadpłacanych można traktować, jako ukrytą formę funduszu na zatrudnienie bezrobotnych. A kapitał błędnie inwestowany czy ma prawo domagać się stałego wynagrodzenia z kieszeni publiczności?

Gdyby choć ten dumpingowy cukier był u nas, tak jak w Rosji sowieckiej, własnością państwa! W takim razie możnaby na usprawiedliwienie dumpingu powiedzieć: „Trudno, skarb nagwałt potrzebuje walut na swe cele, więc zdziera skórę z obywateli". Lecz tak nie jest! Właścicielem jest kapitał prywatny i on inkasuje gotówkę otrzymaną.

W tych warunkach wysuwa się argument, broniący cukrowego dumpingu rzekomemi korzyściami dla bilansu handlowego i wogóle gospodarki krajowej, jako całości.

Rozpatrzmy ten argument. Weźmy, dla ilustracji, hypotezę, że w kraju sprzedajemy 100 ton cukru po 5 funtów sterlingów tona, a zagranicą drugie 100 ton po jednym funcie. W takim razie całość produkcji, wynosząca 200 ton, jest sprzedana za 600 funtów. Znaczy to, że przeciętna cena rynkowa za tonę wyniesie 3 funty. Konsument krajowy jednak, zamiast zapłacić za swe 100 ton 300 funtów, płaci 500, czyli daje 200 funtów ponad cenę normalną za to, by do Polski wpłynęło zzagranicy 100 funtów.

Z przykładu tego wynika jasno, że gdyby nawet wprowadzono podatek specjalny na pokrycie niedoboru bilansu handlowego, spowodowanego nagłem wstrzymaniem eksportu cukru, to jeszcze taki podatek byłby o połowę niższy od tego, co dziś kosztuje Polskę nasz cukrowy sposób łatania rzekomej dziury w bilansie handlowym.

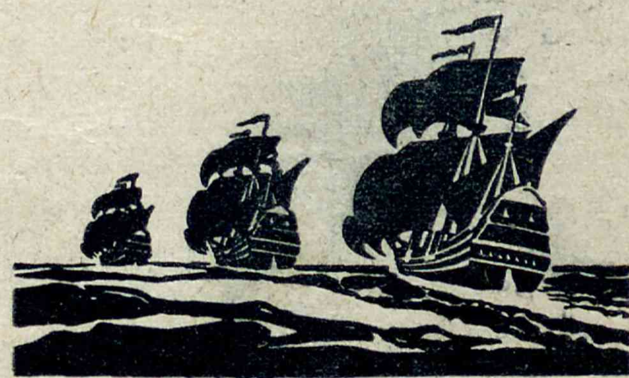
* * *

Przez lat piętnaście niektórzy nazywali taki stan rzeczy koniecznością gospodarczą. Wreszcie Rząd doszedł do wniosku, że niema racji uwieczniać błędu, popełnionego przez odbudowanie dwukrotnie większej od potrzebnej ilości cukrowni, drogą stałego marnowania grosza polskiej publiczności, i zarządził badanie sytuacji w cukrownictwie w celu zmiany dotychczasowego stanu rzeczy.

Prawidłowe rozwiązanie sprawy, bez reszty, wymagałoby: zupełnego zniesienia dumpingu i zużycia w sposób produkcyjny kapitałów, inwestowanych w zbędnych cukrowniach. Takie zadanie jest do wykonania, choć przechodzi zakres uprawnień, posiadanych w tej chwili przez Rząd.

W tych okolicznościach trudno jest przewidzieć, jaką mianowicie formę konkretną przybiorą posunięcia Rządu. W każdym razie już dziś można powiedzieć jedno: akcja Rządu nie pójdzie w kierunku zamknięcia połowy cukrowni z tem, że czynne płaciłyby zamkniętym „postojowe" równe ich zyskom dotychczasowym, a jednocześnie pozostawiły własnemu losowi nowe rzesze bezrobotnych.

M. P.



TYDZIEŃ ŚWIATA

Różnice kultury

(Wig.) Długotrwały proces o podpalenie Reichstagu zakończył się skazaniem na śmierć tylko van der Lubbe'go. Trzech komunistów bułgarskich i przewódcę komunistów niemieckich Torglera uniewinniono. Zawdzięczają to opinji świata — burżuazyjnego świata. Nie zawahała się ona wystąpić w obronie przysięgłych swych wrogów, skoro została przekonana, że nie brali udziału w zarzucanej im zbrodni.

Na tem polega wyższość naszej moralności burżuazyjnej od moralności komunistycznej. Potrafimy wznieść się ponad animozje społeczne i polityczne. Umiemy stanąć w obronie największych wrogów. Poczucia sprawiedliwości nie podporządkowaliśmy praktycznym względom. W Sowietach jest inaczej. Tam „celowość" rozstrzyga w sądach. Gdyby przed trybunałem moskiewskim stanęło czterech „kontrrewolucjonistów", nie znalazłoby się jednego komunisty, któryby ich wziął w obronę.

To zasadnicza różnica między naszą a bolszewicką moralnością. Uniewinnienie czterech komunistów pod presją wszechświatowej opinji publicznej jest wielkiem zwycięstwem kultury — „burżuazyjnej" kultury, „demoliberalnej" kultury, chrześcijańskiej kultury.

Odwaga

(Old) Akademja Literacka odbyła niedawno trzydniową sesję. Niestety, nie obradowała w komplecie. Brakowało trzeciej części członków. Nasi nieśmiertelni podlegają chorobom.

Mimo tak nielicznego udziału, dyskusje były ożywione, a gwar w gmachu Ministerstwa Oświaty panował taki, że urzędujący w sąsiednich gabinetach dawni belfrzy szeptali między sobą złośliwie, że to chyba przedszkole, nie Akademja.

Największy spór powstał przy roztrząsaniu sprawy wykładów literatury polskiej. Jedni chcieli ograniczyć się do żądania powiększenia liczby godzin przeznaczonych na ten przedmiot w wyższych klasach gimnazjalnych z 3 do 5 tygodniowo, inni domagali się *wglądu* w lekturę obowiązującą w tych klasach.

Wreszcie rzecznik tej opinji zakonkludował, że jego wniosek został uchwalony i sprawa przegłosowana.

— Nie przegłosowana lecz wywrzeszczana — zauważyła z miejsca jedyna nasza Akademiczka.

Obecni podziwiali odwagę oponentki. Kobiety jednak mogą sobie na wiele rzeczy pozwolić!

Smutne święta we Francji

(V.) W noc Wigilijną straszna katastrofa kolejowa zdarzyła się pod Paryżem. Dwa pędzące pociągi pośpieszne wpadły na siebie, rozbijając się doszczętnie i miażdżąc spieszących na święta pasażerów. Przeszło 200 osób zostało zabitych, dwa razy tyle odniosło ciężkie rany, z których większość pociągnie za sobą śmierć lub kalectwo. Tak okropnej katastrofy nie znają dzieje kolejnictwa.

Nic też dziwnego, że cała Francja okryła się żałobą, a ze wszystkich stron świata napływają kondolencje.

Współczucie nasze dla wielkiego narodu sojuszniczego jest tem żywsze, że sami niedawno mieliśmy katastrofę kolejową pod Poznaniem, która pociągnęła wiele ofiar w zabitych i rannych. Rozmiary jej w przybliżeniu nawet nie mogą się równać z hekatombą francuską, a jednak spowodowały wiele łez i tragedji.

Cóż dopiero doświadcza Francja! W tej godzinie smutku serca polskie biją dla niej żywiej i mocniej.

Na torze wyścigowym Polskiego Związku Łyżwiarskiego

Fot. Jan Ryś



Trenują mistrzowie polscy: Nehringowa, Lena, Kalbarczyk

MIASTO — LAS



Przez 50 tygodni na rok objawia Warszawa antypatję do zieleni. Zamiast liczne swoje wady osłaniać koronką liści, najukochańsza nasza stolica złośliwie obnaża swe braki, nie starając się nawet w nowych dzielnicach o jakie takie zadrzewienie. Dlatego smutno jest i brzydko od Mokotowa po Żoliborz, i od Pragi po krańce Woli.

Paryżanin wpatrzony od dziecka w perspektywy swych avenues, neapolitańczyk żyjący przez rok okrągły pod czarem swej zatoki, mieszkaniec Pragi Czeskiej mający wciąż przed oczami wyniosłą sylwetkę Hradczyna, rzymianin otoczony dziełami sztuki wszystkich epok, krakowianin dumny, i słusznie, z uroku Wawelu i plant — wszyscy oni kochają nietylko swoje miasto: kochają też jego *piękno*.

I bronią go w razie potrzeby.

Kiedy parę lat temu gubernator Rzymu książę Spada Potenziani, dla rzekomych względów hygienicznych kazał wyciąć połowę platanów, zdobiących Via Veneto, a na ich miejsce powsadzał krzaczki mimozy (obiecując, że podrosną i że będą pachniały) — taki się podniósł alarm w Wiecznem Mieście, jakiego nie było w czasie najgorętszych walk politycznych. Sam Mussolini, dla którego nie istnieją kwestje „zbyt małe", zajął się tą sprawą. A gdy naocznie skonstatował dzieło dokonanego zniszczenia — gubernator wyleciał jak z procy. Chociaż książę, chociaż Spada, chociaż Potenziani.

*

A w Warszawie w tym samym czasie wycinano kilkusetletnie drzewa parku Frascati, bo już widać zabrakło innych terenów budowlanych. I spokojnie projektuje się zdewastowanie Ogrodu Saskiego dla przeprowadzenia ulicy. I uszczupla się ten jedyny ogród śródmieścia dla wzniesienia jakichś ministerjalnych przybudówek.

*

Jest w samem sercu stolicy wielka pustynia. Trochę wprawdzie mniejsza od Gobi, ale jak na stołeczny plac reprezentacyjny jednak cokolwiek za duża. Dwie melancholijne sosenki umierają z nudów wprost wejścia do znanej kawiarni. Ożywiają się na krótko przed Bożem Narodzeniem: cały las wtedy przybywa do nich w odwiedziny.

Pustynia natychmiast się zmienia.

Z Saskiego ogrodu jak chmary wróbli zlatują się dzieci. Książę Józef ze swego pomnika przyjaźnie spogląda ku gościom-choinkom. A z głębi, z pod kolumnady, uśmiecha się do nich serce Żołnierza Nieznanego. Przechodnie przystają zachwyceni: jaka Warszawa dziś ładna!



Podobny lasek, choć mniejszy, ustawiony pod portykiem Pałacu Staszyca, śliczne stanowi tło dla Kopernikowych rozmyślań, a kopuła kościoła Ś-go Aleksandra wyłania się z puszczy iglastej, nabierając nowego, tajemniczego uroku.

Ale święta mijają. Część choinek znajduje nabywców i wnosi zapach lasu do miejskich ciasnych mieszkań. A resztę drzewek niesprzedanych zaraz po Wigilji sprzątają uważne wozy magistrackie, tak jak sprzątają śnieg, śmiecie i odpadki.

Może możnaby to złudzenie lasu zostawić nam nieco dłużej na ulicach i placach Warszawy? Chociażby tylko do chwili, gdy choinki uschną, igły się z nich posypią, — i wtedy dopiero je zaliczyć do kategorji „śmierci i odpadków". Żebyśmy jeszcze mogli, póki są świeże i zielone, cieszyć się niemi, jak nieoczekiwanym podarunkiem gwiazdkowym, jak mirażem lasu, który wyrósł nagle na kamiennym miejskim chodniku.

BOHDAN TEOFIL LEPECKI

Na Paragwajsko-Argentyńskiem pograniczu

Od wielu już dni wędrowałem po wyboistych drogach terytorjum Misiones w północno - wschodniej Argentynie. Jazda na rozklekotanym Fordzie po korzeniach leśnych, kamieniach, kałużach i niezliczonych górach i rozdołach nie należy do przyjemności, to też rychło zbrzydziłem ją sobie gruntownie. Zmęczony, poobijany na wszystkie boki, zbrudzony, jak nieboskie stworzenie, czerwonym pyłem gliniastym, z radością myślałem o tem, że w Corpus, porcie nad rzeką Paraną, rzucę obmierzły samochód i przeniosę się na wygodny statek turystyczny „Guairę".

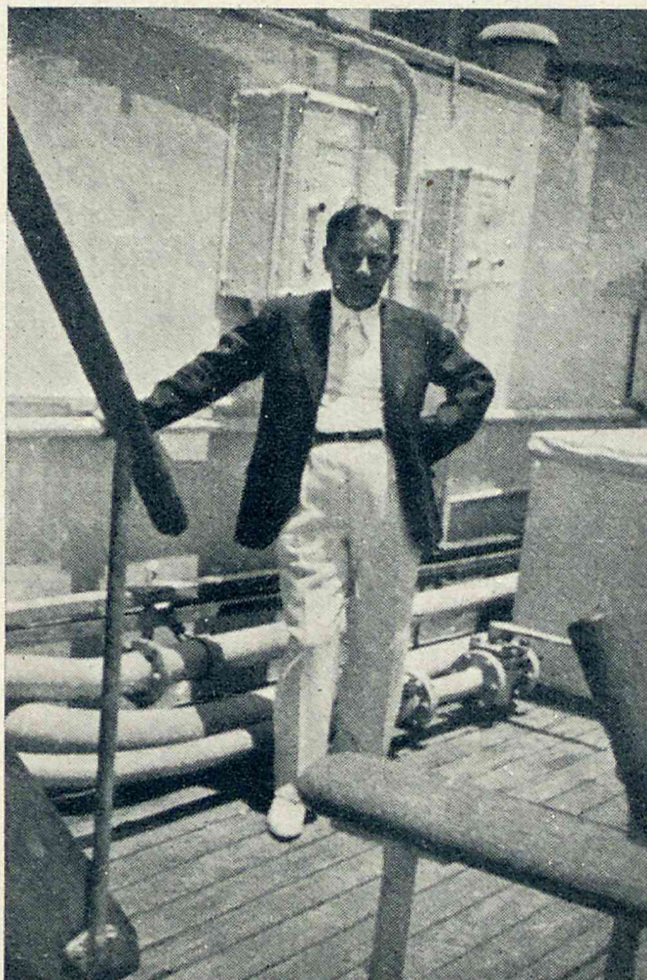
Marzenia ziściły się. Jednego skwarnego popołudnia znaleźliśmy się na statku i szybko pomknęliśmy po szerokiej tafli Parany, wzdłuż paragwajsko - argentyńskiego pogranicza, w stronę wodospadów Iguassù, od których dzieliła nas przestrzeń tysiąca kilometrów.

Rzekę bramowały z obydwóch stron linje zwartych, gęstych lasów bambusowych. Olbrzymie wachlarze tych nieznanych w naszej strefie drzew pochylały się w stronę rzeki, ocieniając otwarte od strony wody małe plaże piaszczyste. Na plażach wylegiwały się krokodyle, niekiedy tapiry, delektując się słońcem, które nie skąpiło im swego żaru.

Lasy nadbrzeżne stanowiły zwarte ściany, zrzadka tylko wyszczerbione ręką człowieka, zakładającego tam swoje osiedla. Ludzie nie zdołali jeszcze w poważniejszy sposób zaznaczyć się na brzegach dziewiczej rzeki.

Po gruntownej kąpieli, wyczyszczeniu się i wyszczotkowaniu pobiegłem na pokład przyglądać się mijanym krajobrazom.

Zastałem tam grubego Argentyńczyka, zabawiającego się strzelaniem do prażących się w słońcu krokodyli. Wiedział już, że jestem cudzoziemcem i zapragnął pogawędki z egzotycznym gościem z dalekiego świata. Przerwał strzelanie i rzekł:



Autor niniejszej korespondencji w podróży pod zwrotnikami

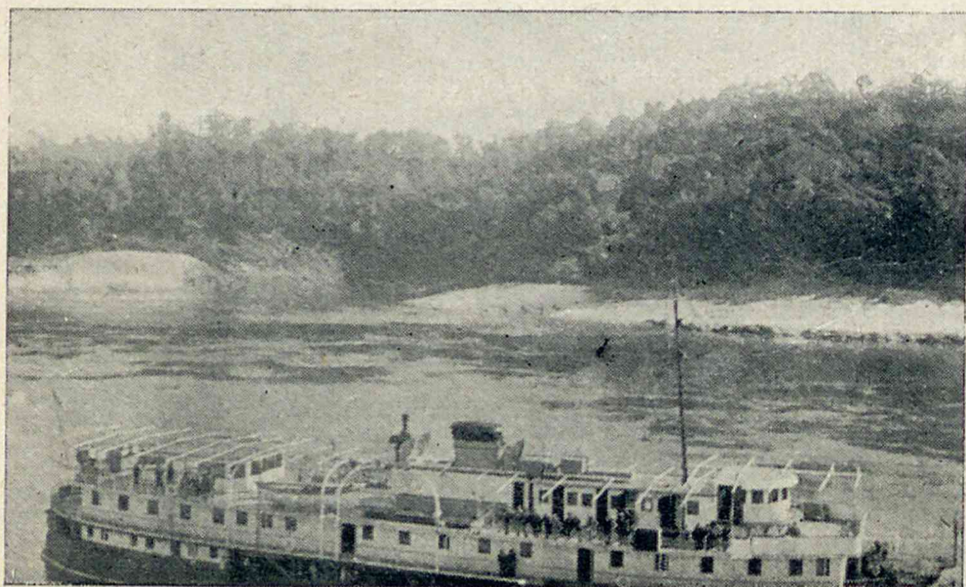
— Niech pan się rozejrzy wokoło. Wszędzie lasy i lasy. Człowiek cywilizowany czuje się tu intruzem. Na brzegach, zamiast pięknych i ludnych miast i hacjend, wylegują się te przeklęte krokodyle. Tysiąc kilometrów będziemy jechali do Puerto Aguirre przez okolice, na które przyroda zesłała wszystkie swoje błogosławieństwa, a gdzie ludzie nie uczynili żadnego godniejszego uwagi wysiłku, aby wykorzystać rzucone im pod nogi bogactwa. *Carramba!* Mamy cudowną, spławną rzekę i prawie nic nie robimy, aby jej brzegi zamienić na kraj mlekiem i miodem płynący... W starej waszej Europie ludzie uginają się pod ciężarem kryzysu, a tu, po najżyźniejszej na świecie glebie, związanej ze światem cywilizowanym szeroką, żeglowną rzeką, hasają tapiry i szczerzą zęby krokodyle.

Przytakiwałem mu, rozglądając się bacznie po mijanych okolicach. W jednem miejscu z piasku przybrzeżnego wyrastała grupa brunatnych skał i tworzyła obszerną zatoczkę. Wprost idealne miejsce do założenia osady. Port stworzyła już sama natura. Drzewa było w pobliżu poddostatkiem. Tylko rąbać bambusy, budować chatkę i plantować pomarańcze, grapes fruits'y, mandjokę, yerbę, tytoń. Za plecami kłębiła się dzika puszcza, pełna tajemnic, przed oczami roztwierały jasne wody Parany. Podobnie jak przed kilku tygodniami w Paranie, tak i teraz zbudziła się we mnie tęsknota do cichego i spokojnego życia w głębi lasów, do odcięcia się od cywilizacji, kryzysu, redukcyj, walki o byt.

Marzyłem niegdyś, abym mógł podróżować na okręcie po dalekich wodach, aby okręt ten rozbił się na brzegach wyspy bezludnej i bym mógł, jako rozbitek, zaznać wszystkich rozkoszy życia Robinsona. Spoglądając na malownicze brzegi Parany, przypomniałem sobie o marzeniach młodości i postanowiłem, że kiedyś — gdy na świecie będzie jeszcze gorzej, kiedy złość ludzka mocniej pokaże zęby — powrócę tu i zamieszkam z kimś, kogo również chciałbym uchronić od złej doli.

Podzieliłem się mojemi robinsonowemi tęsknotami z Argentyńczykiem. Ucieszył się.

— Niech pan przyjeżdża jak najprędzej. Ziemi mamy aż nadto, brakuje nam jeno ludzi cywilizowanych i chętnych do pracy. Tylko, jak panu wiadomo, płyniemy między Paragwajem i Argentyną



Statek turystyczny „Guaira"



Puszcza nad rzeką Paraną

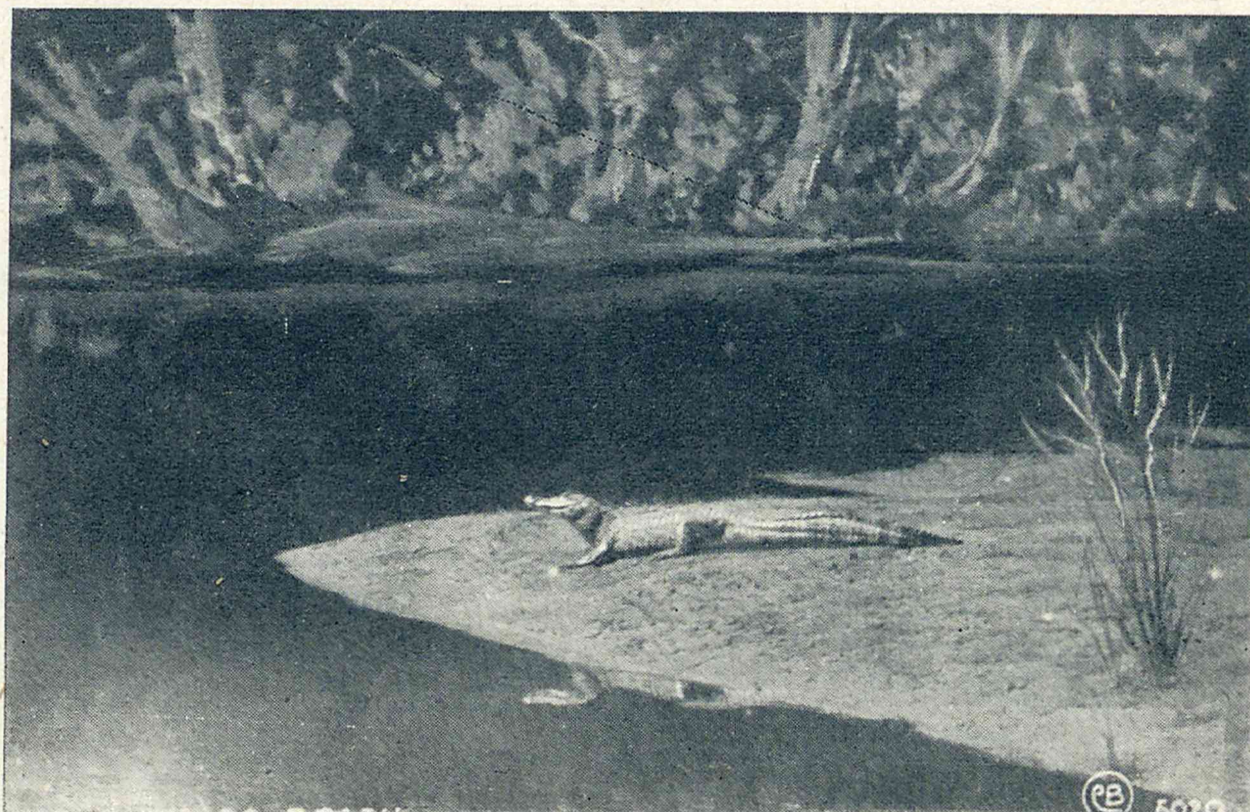
(rzeka Parana stanowi na przestrzeni Posadas - Puerto Aguirre granicę między temi dwoma krajami), a miejsce wybrane przez pana znajduje się właśnie w Paragwaju. Niech pan lepiej wyszuka sobie coś na brzegu argentyńskim.

Ostatnie słowa Argentyńczyka słyszał jego towarzysz, przysłuchujący się od pewnego czasu naszej rozmowie. Patrjotyzm mego interlokutora rozbawił go. Roześmiał się i rzekł:

— Niech pan go nie słucha. W Paragwaju żyje się świetnie. Kupi pan sobie młodą żonę, albo — jeśli pan jest ostrożny — wynajmie tylko na kilka miesięcy Paragwajkę, która zajmie się pana domem, nasadzi mandjoki, cebuli i innych warzyw i będzie szczęśliwa, że ma „estranjero" (cudzoziemca) za męża.

— Jakto, kupię żonę? Nie rozumiem. Przecież w Paragwaju niema niewolnictwa?

— W Paragwaju jest wielki kryzys. Pes paragwajski ma nieskończenie mniejszą wartość od argentyńskiego i nasza waluta jest tam bardzo pożądana. Znędzniali wskutek nieprawdopodobnego wprost lenistwa Paragwajczycy wynajmują swoje córki cudzoziemcom za 15 — 20 pesów miesięcznie (30 — 40 złotych). Zresztą kobiety w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat były tam mało cenione. W latach 1865 — 1870, w czasie wojny, jaką toczył mały Paragwaj z Brazylją, Argentyną i Urugwajem, ludność jego spadła z miljona do 100,000, w czem było tylko 15,000 mężczyzn, głównie starców i dzieci. Pozostali przy życiu mężczyźni mieli po kilka żon. Kobiety zdewaluowały się wskutek tego ogromnie i dlatego rodzice chętnie dzisiaj sprzedają lub wynajmują swoje córki,



Na plaży wylegiwały się krokodyle

zwłaszcza gdy trafi się bogaty i płacący gotówką cudzoziemiec.

— Pański projekt kupna żony jest wspaniały, ale zachodzi przeszkoda nie do przezwyciężenia.

— Jaka?

— Mam już żonę.

— Muy bien, muy bien! (Bardzo dobrze, bardzo dobrze!) — wołał rozweselony towarzysz Argentyńczyka, klepiąc mnie zwyczajem południowo-amerykańskim po łopatce.

Na rozmowach tego rodzaju zeszedł czas do wieczora. Po kolacji znów wyszedłem na pokład. Jechaliśmy bliżej brzegu paragwajskiego. Na niebie błyszczały mirjardy gwiazd, wśród których lśnił majestatycznie Krzyż Południa. Powietrze było spokojne. Olbrzymie wachlarze bambusów zastygły w dostojnej nieruchomości. Na wzgórzach rysowały się wyraziście sylwetki palm, prześwietlonych księżycowemi blaskami. Idealnie gładką taflę wodną srebrzył miejscami księżyc. Na brzegu nie było widać świateł, zwiastujących obecność człowieka. Ciszę nocy podzwrotnikowej przerywał tylko miarowy łopot koła okrętowego.

W mrokach nocy pędziłem przez kraj dziewiczy jeszcze, pełen tajemnic i niespodzianek. O kilkaset metrów odemnie drzemała odwieczna puszcza, taka sama, jaka rosła w Polsce przed tysiącem lat, kiedy przodkowie nasi wychodzili z mroków barbarzyństwa. Marzenie dzieciństwa o krajach dalekich splotło się w braterskim uścisku z rzeczywistością.

Kiedy tak chłonąłem duszą i sercem urok nocy podzwrotnikowej, z przodu statku zaczęły dochodzić mnie jakieś nieśmiałe odgłosy, które stopniowo przerodziły się w głośne śpiewy. Poszedłem zobaczyć, co się dzieje.

Na samym czubie „Guairy" ulokowało się kilka dziewcząt, które śpiewały argentyńskie pieśni miłosne. Głosy początkowo słabe potężniały stopniowo, przemieniały się w krzyk, dyszały żarem południa, tchnęły płomienną namiętnością, nieznaną na dalekiej Północy. Tylko w cieniu palm rozłożystych, w atmosferze przepojonej wonią kwiatów można zrozumieć i odczuć ich gorącą wymowę. Chwilami miało się wrażenie, że to nie śpiew, ale krzyk kochającego serca ludzkiego, rozpostartego na kole miłosnej udręki...

Zasypiając tego dnia w schludnej, czystej kajucie, miałem wrażenie, że wszystko, co przeżywam, jest nierealne, że za chwilę przetrę oczy i znajdę się pod chmurnem niebem Polski, że znikną czary podzwrotnikowe i zapadnie się w mroki Krzyż Południa. Ale nic nie zniknęło i tylko ukojna, cicha noc brała mnie zwolna w ramiona.



Grupa wieśniaczek argentyńskich pochodzenia indyjskiego, z pobrzeża Parany

Obrazy Warszawy



Tadeusz Cieślewski (syn) — *„Fragment Starej Warszawy"*

Wśród prac Tadeusza Cieślewskiego, syna, znajduje się „Staromiejska rycina", poświęcona w hołdzie ojcu swemu, Tadeuszowi, malarzowi warszawskiego Starego Miasta.

„Rycina Staromiejska" nie jest tylko wyrazem synowskiej miłości, ale jednocześnie charakterystyką działalności artystycznej malarza Starej Warszawy, który przez trzydzieści kilka lat z rzędu prawie iż wyłącznie opiewał piękno swego rodzinnego miasta.

Ponad postacią mistrza, zajętego przy sztalugach, płynie symboliczny okręt i unosi go w zaułki starej Warszawy, najmilszej oblubienicy.

Mistrz Tadeusz Starszy, rzec można bez omyłki, nie miał droższej sercu kochanki, oddał jej bowiem całe życie i to, co w życiu jest najpiękniejsze, entuzjazm swej twórczości.

Po stokroć odmalowywał te same domy, te same zaułki, radując się za każdym razem nowem jakiemś nieodkrytem pięknem, to inną szatą kolorów, innem słońcem, które padało na jej twarz, lub nowem ujęciem tej samej postaci.

Mistrz Tadeusz Starszy wyszedł z tradycji impresjonistycznych; nauczycielem jego był Wojciech Gerson, który ponad wszelkie inne zalety malarskie stawiał ścisłość i prawdę obserwacji. Tego samego uczyli go paryscy profesorzy, a przedewszystkiem Aman Jean i Collin, wychowawcy świetnej generacji malarskiej, zachęcając go do portretu i krajobrazu.

Korzystał z tych rad mistrz Tadeusz Starszy, ale gdy wrócił do kraju, został malarzem Warszawy.

Szczególnie zajęła go barwa i nastrój stolicy, tego szukał w swej kochance i to utrwalił w obrazach.

W tem podejściu do przedmiotu stworzył dzieła o długowiecznej trwałości, jak nikt inny w malarstwie polskiem, bo zamknął w swych obrazach pokaźny zrąb czasu, wsiąkły w mury miasta, przekazując go historii.

Wystawa prac mistrza Tadeusza Starszego w ruchliwym i zasłużonym dla sztuki salonie Garlińskiego jest tylko drobnym fragmentem tej bogatej galerji widoków warszawskich i należałoby pragnąć, aby ten świetny malarz Warszawy przypomniał mieszkańcom swego rodzinnego miasta ogrom swej twórczości, poświęcony tej jednej miłości, która była mu natchnieniem przez całe niemal życie.

Groźnego rywala znalazł mistrz Tadeusz Starszy w rodzonym synu, Tadeuszu.

Chował go na architekta, a wychował na rasowego malarza, który w dodatku zadurzył się w tej samej krasawicy.

Ale młody zupełnie czego innego chce od swej kochanki.

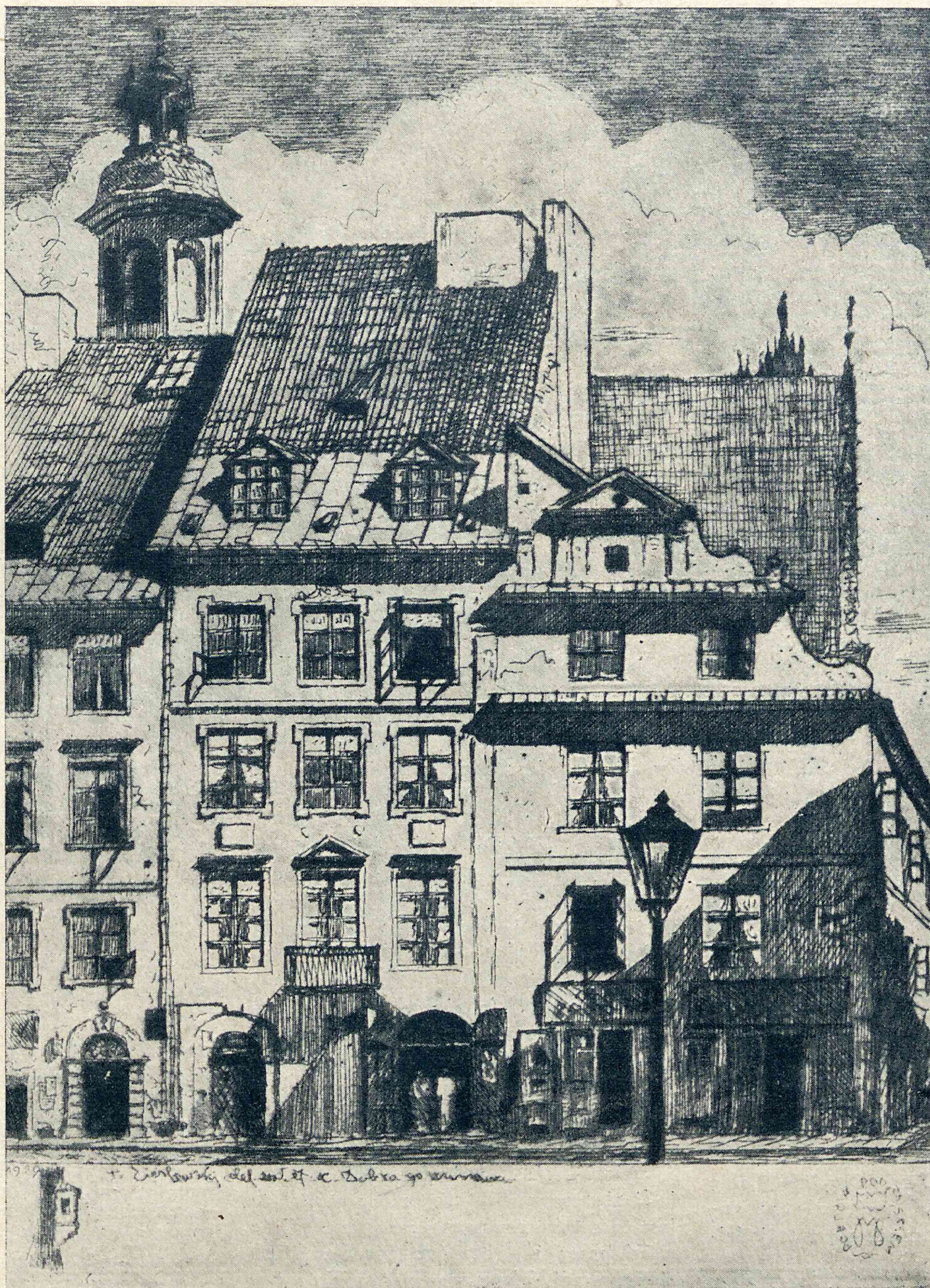
Pragnąłby przeniknąć treść jej mistyczną, ogląda ją oczyma swej fantazji, snuje symbole na jej temat, upodabnia miasto do swoich wyobrażeń, odgaduje te tajemnice, o których ani dziadom, ani ojcom się nie śniło.

Czy mówi może nieprawdę?

Grecy kłamali tworząc Wenus milońską, ludzie gotyku głosili nieprawdę, malując ascetyczne postacie Madon, kłamali artyści rene-



Tadeusz Cieślewski (syn) — *„Stara Warszawa pod śniegiem"*



Tadeusz Cieślewski (syn) *„Kamienica w Rynku Starego Miasta" (drzeworyt)*

sansu, tworząc te same wizerunki w pełni bujnych kształtów, fałszywe z gruntu wydawały się elegancje rokoka i rozmarzenia romantyzmu i kolory impresjonistów, wszystko było kłamstwem, dopóki artysta nie nauczył widzów spoglądać swemi oczyma.

Idźmy, wiedzeni przez Tadeusza Młodszego, w zaułki warszawskie, gdzie czarny zwał cieniów wyrzuca niespodzianie białą sylwetę domu, gdzie wiją się poszarpane jak zygzak błyskawicy schody, a mury chylą się w kapryśnych grymasach, niby zlęknieni przechodnie.

Miasto żyje energją nowej dynamiki, którą tchnął w jej mury młody artysta.

Stajemy wobec pouczającego problemu dwóch pokoleń: tego, co chlubnie zapisało się w dziejach, tworząc wielką sztukę bystrych obserwatorów i pilnych badaczy, a młodem pokoleniem, budującem świat na swoją modłę — może lepszą a może gorszą od wpisanej w złote księgi dziejów, ale w każdym razie zasadniczo odmienną.

Witołd Bunikiewicz



Rozmowa polityków (od lewej): Aleksander Zelwerowicz, Stanisław Grębicki, Wiktor Biegański, K. Junosza-Stępowski, Tadeusz Chmielewski, Bogusław Samborski, Kazimierz Justian

Fot. St. Brzozowski

Świat teatru

Krytyka „Nad przepaścią"

Sztuka Bernarda Shawa „Nad przepaścią", wystawiona w Teatrze Polskim, wywołała, jak należało tego oczekiwać, znaczne poruszenie w opinji i krytyce.

Świadczą o tem głosy prasy, ujmujące „fantazję polityczną" Shawa z różnych wprawdzie stanowisk ideologicznych, podkreślające wszakże bezapelacyjnie głębię i przenikliwość jego spojrzenia w antagonizm, w którym miota się ustrój dzisiejszego świata.

I tak, członek Akademji Wincenty Rzymowski pisze m. i. w „Kurjerze Porannym":

„Nową swą komedję Shaw nazwał fantazją polityczną. Fantazja ta wszakże nie jest ucieczką od rzeczywistości i próbą przeniesienia się nad obłoki. Owszem, wszystkiemi motywami swej treści tkwi ona w realnym gruncie naszych najżywotniejszych zainteresowań, trosk, obaw, buntów i nadziei... Shaw stawia nas oko w oko z tem, co trawi i zżera cywilizację państw zachodnio-europejskich, napróżno szukających podstawy, na której mogłyby się okopać i utrwalić wobec grozy osaczających je niebezpieczeństw".

Prof. Z. Łempicki w „Kurjerze Polskim":

„Shaw nie zajmuje zdecydowanego stanowiska wobec problemów. On postępuje bardzo mądrze. On problemów nie rozwiązuje. On je stawia. On pisze „fantazję polityczną", w której każdy może znaleźć swoje dogmaty. Stary kpiarz się wykpiwa. I oto pewne ustępy i powiedzenia jego komedji oklaskiwać mogą i będą komuniści, inne faszyści, a jedyny wydźwięk, dosyć zdecydowany, jaki ma cała „fantazja", to ironiczne i krytyczne stanowisko wobec utartych form demokracji".

Stanisław Piasecki w „ABC":

„Niepodobna rozumieć sztuki Shawa, jeśli się przez cały czas nie pamięta, że jest to sztuka napisana przez Anglika, że mówi przez nią rozpacz narodu, który stworzył największe imperjum wieków nowożytnych i pół świata podbił dla anglosaskiej cywilizacji, a obecnie przeżywa zmierzch swego rozmachu dziejowego. Imperjum rozpada się, cywilizacja anglosaska się kruszy. Wielkie przemiany, jakie dokonywują się na świecie, dokonywują się poza Anglją i poza Anglją nowe wyrastają potęgi światowe. Shaw jeszcze ciągle ma uśmiech „kpiarski", ale w tych kpinach jest już gorycz uświadomienia sobie nieuchronnej klęski".

Jak widać z powyższych głosów, reprezentujących różne odłamy myśli politycznej, sztuka Shawa wywołała dość sprzeczne sądy, jeżeli chodzi o jej stronę ideową. Wszyscy krytycy są natomiast zgodni w tem, że nowy utwór Shawa jest dowodem jego niespożytej, fenomenalnej młodości ducha i żywotności umysłu.

Przed premjerą Shaw'a w Narodowym

W tym samym czasie, gdy Teatr Polski wystawia „Nad przepaścią", utwór blisko 80-letniego genjalnego mistrza djelektyki, Teatr Narodowy sięgnął do komedji i „Nigdy nic niewiadomo", należącej do wcześniejszego okresu twórczości Shawa.

„Nigdy nic niewiadomo" napisał Shaw za namową dyrektorów teatrów londyńskich, którzy byli przeświadczeni, że Shaw — mimo początkowego niepowodzenia „Candidy" i „Bałamuta" — zdoła napisać utwór, łączący świetność djalogu z doskonałością komedjowej kompozycji.

Shaw zgodził się na propozycję stworzenia komedji, odpowiadającej gustowi publiczności londyńskiej, gdyż, jak sam wyznał, miał ochotę pokazać, że „pisarz sceniczny może *uczłowieczyć* te wszystkie ulubione przez publiczność momenty z taką samą łatwością, z jaką pisarz bez talentu może *odczłowieczyć* wszelki dramat na scenie".

Mimo to Shaw, po napisaniu „Nigdy nic niewiadomo", wycofał sztukę swą z prób w najmodniejszym wówczas teatrze „The Staepmarket", gdyż zniechęcił się do wyjątkowo niepojętnych aktorów.

Jednocześnie zrezygnował z pracy komedjopisarskiej w wielkich teatrach i cofnął się na lat 9 w zacisze scen eksperymentalnych, niezależnych, które skwapliwie spełniały wszelkie jego kaprysy.

Wreszcie po roku 1905 nadszedł okres wielkiego powodzenia „Nigdy nic niewiadomo" w Nowym Jorku w Garrick Theatre (9 miesięcy bez przerwy!) i w Court Theatre w Londynie.

Łącznie ze zmianą smaku i nastrojów publiczności, zmienił się również i stosunek krytyków. O ile w r. 1899 wybitni krytycy Grein i Wiliam Archer zaklinali Shawa, by „jako wielki myśliciel jaknajprędzej porzucił laseczkę błazna", o tyle w r. 1906 czołowi krytycy londyńscy po przedstawieniu „Nigdy nic niewiadomo" porównywali Shawa z największymi komedjopisarzami Anglji!

*

Teatr Letni wystawi najnowszą sztukę najpopularniejszego w obecnej chwili autora francuskiego, Devala (twórcy „Mademoiselle" i „Stefka") p. t. „Towariszcz".

Sztuka, ciesząca się fenomenalnym sukcesem od 3 miesięcy w Paryżu, od kilku zaś tygodni w Wiedniu, wystawiona w reżyserji Emila Chaberskiego, daje pole popisu trzem naczelnym postaciom: wielkiej księżnej (Ćwiklińska), wielkiemu księciu (Leszczyński) i „towarzyszowi" (Buszyński).

W innych rolach wystąpią: Janecka, Kurnakowicz, Różańska, Nakonieczna, Macherska, Łaska, Kawińska, Kajzerówna, Strzelecki, Michalak, Karczewski i Janusz.

Komedja Devala, mając za tło życie emigracji rosyjskiej, zawiera wiele humoru.

Varsoviana

OPERETKA

W nowym 1934-ym roku czeka nas w stolicy nowa inflacja teatralna.

Przedewszystkiem otrzymać mamy dwa duże teatry śpiewne. Jeden nazywać się będzie *„Wielka Operetka"* i pozostawać ma pod właścią eks-rexa z Karowej Andrzeja Własta, w tych samych gigantycznych murach *ci-devant* Teatru Artystów...

Druga operetka, trochę mniejsza, śpiewać będzie w obecnym teatrze „Cyganerja".

Zespół tej ostatniej stworzyć ma teatr rewjowy w lokalu kina „Majestic".

Drugi teatr rewjowo-kabaretowy otwierają rozbitki z „Rexa" w całkowicie nowy sposób urządzonej sali teatralnej, przerobionej *ad hoc* z prywatnego mieszkania (to nie bajka!) w okolicach Placu Teatralnego...

No, i nakoniec — zupełnie nieznany u nas rodzaj teatru (jaki?) ma znaleźć pomieszczenie w podziemiach!... „Przezorności" na Placu Napoleona.

Łącznie — pięć nowych imprez teatralnych!

Ale to jeszcze nie wszystko — pocieszają się pesymiści u Lursa...

„RODZINA" SŁONIMSKIEGO W NOWEJ KOMEDJI



Modzelewska i Jaracz w „Rodzinie" Fot. St. Brzozowski

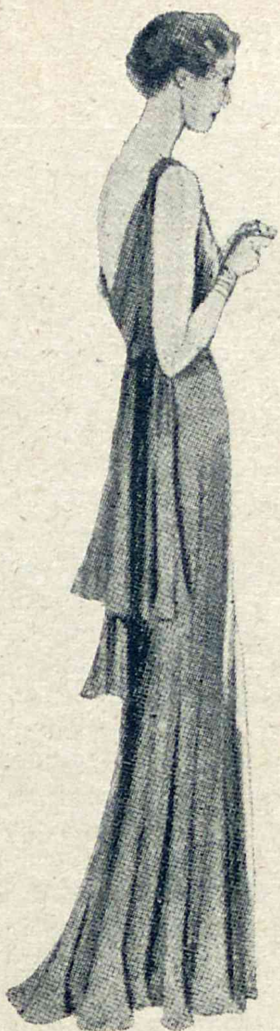
Na podobieństwo wesołego angielskiego „Kazania" w 2-ch aktach w Teatrze Polskim, autor *rodzinnej* dyskusji aktualnej w 3-ch aktach stara się wzorem starszego genialnego kolegi utrzymać nad przepaścią, rozdając uszczypliwe pchnięcia swych konceptów na prawo i na lewo, na wschód i na zachód, w większość i w mniejszość... Rządowi i sferom prorządowym dostaje się prawie tyleż satyrycznej impertynencji (Pan Wojewoda!), co obozowi narodowemu (Kolasiński!); parę jowialnych psztyków sąsiedzkich otrzymują Sowiety (proletarjusz z wyboru); nie oszczędzony jest chłop (bolesny chwyt z roku 63-go) i szlachta (Bóg w dom, gość w dom, kogóż tam znów djabli niosą?!); za swoje dostają żydzi (Młynarz, jego syn i kamienica w Berlinie). Ale najwięcej czasu i szczerej pasji poświęca autor — zmorze hitlerowskiej. Tak dużo, że już pod koniec aktu II-go i przez cały akt trzeci jowialna z początku komedja gubi potrochu zdobytą rację śmiechu, a bardzo utalentowany aktor Chodecki świetnie zaczętą rolę „rasowego" blondyna. Niedobór wyrównywa ogromny zapas uciechy satyrycznej, zdobyty w akcie I-ym — bezmała znakomitym! — i przez pierwszą połowę aktu II-go.

Wykonanie aktorskie w reżyserji Perzanowskiej po 67 próbach (informacja z programu) — wyciągnięte bez reszty. W drobnych rolach aż — przeciągnięte. Kapitalne pozycje: Jaracz (jeszcze jedna świetna „empirja" znanego typu ipsowego!), Modzelewska (czarujący dar epizodu!), Juljusz Łuszczewski, Sielański, Perzanowska, Dąbrowska, Orwid.

Publiczność przez cały wieczór wyszukiwała okazji do oklasków przy podniesionej kurtynie. Znajdowała ich poddostatkiem.

Na premjerze obecny był literat angielski, który wespół z polskim kolegą przekłada polską „fantazję polityczną" na autentyczny język Bernarda Shaw'a. Prapremjera na wyspie odbyć się ma jeszcze w sezonie bieżącym. *al.*

Co włożę na Sylwestra?





— Naturalnie dramat: nie mam nic! Choćby czterdzieści sukien wisiało w szafie — nie mam nic! Bo na Sylwestra chcę być inna, niż zwykle, smuklejsza i młodsza, i bardziej kusząca i bardziej elegancka!

— „Więc?"

— Rzecz jasna: muszę sobie sprawić suknię.

— „Jaką?"

— Będzie z płynnego pajęczego czarnego velour'u albo z biało-srebrnej lamy miękkiej jak najcieńszy chiffon. Że drogo? Że 150 złotych metr? — Trudno, raz do roku świętujemy Sylwestra. Z tej cud- materji skomponuję poemat-suknię. Plecy będzie miała odsłonięte, zgodnie z życzeniem poety, by „wycięta była po-pas". Zato z przodu skromność iście klasztorna: harmonijne fale draperji zasłonią mi „solniczki" i ewentualne defekty szyi. (Perfidja — nie moda!) Posągowy majestat postaci osiągnę przez długość mej szaty: tren z tyłu, a z przodu... o kilkanaście centymetrów za dużo, aby się też powabnie wlokła po dywanie.

— „Niewygodnie"...

— To fraszka! Il faut souffrir pour être belle... Biodra ciasno otuli skośnie krajana tkanina, a od kolan do ziemi spływać będzie bogactwo fałd, jak kielich kwiatu. Jeśli się zbuntuję i nie zechcę marznąć w źle ogrzanych salonach i mroźnych hall'ach, suknia moja może mieć w tym roku rękawy. Albo takie z prawdziwego zdarzenia, długie (przy obnażonych plecach wyglądają przewrotnie i uroczo) — albo takie skrzydełka, mniej więcej osłaniające kawałki ramion do łokcia. Dobre i to! Sensacyjną tę nowość w rozkosznym naszym klimacie przyjmą panie napewno z entuzjazmem.

— „I co więcej? Czem będzie przybrana?"

— Oczywiście niczem, proszę pani. Szatę z pięknej tkaniny rzeźbi się jak marmur grecki — nie obwiesza się jej cackami, jak świątecznej choinki. Maximum prostoty przy najwyższym wykwincie „tworzywa" — oto podstawa istotnej elegancji. Upstrzona sztucznemi kwiatkami „toaleta" z siedmiozłotowego flamisolu nie będzie nigdy „kreacją".

— „Płaszcz do tego?"

— Najchętniej gronostaje. Ale ostatni fason — nonszalanckie luźne kimono, swobodnie spływające do kolan — ma szyk tylko na figurze wysmukłej. Dama nieco tęższa wyglądać w nim będzie, jak w worku — i słusznie uczyni, wybierając długie do ziemi sortie, w którego mądrym kroju genjalny krawiec ukryje tych zbędnych kilkanaście kilo.

— „Uczesanie?"

— Och, bardzo zabawne. Antoine chce wrócić do „koka" — i nie śmie. Więc włosy od czoła, skroni, uszu, każe zaczesywać w tył, a włosy nad karkiem — ku górze. Na czubku głowy tworzy się mgiełka powiewnych loczków. Nad czołem, od ucha do ucha, tam, gdzie małe dziewczynki przewiązują wąską wstążeczkę, aby im włosy nie opadały na oczy — nałożymy djadem z dwu skręconych torsad z połyskliwej lamy. Coś królewskiego jest w tem przybraniu głowy. Usta malować będziemy inaczej, niż dotąd: nie „w serduszko", nie w „ciup" i nie w „maleńkie usteczka dziecięce". Modne są usta duże, zmysłowe, żarłoczne — usta Joan Crawford. Kto ich nie ma — niech je sobie zrobi.



— A „klejnoty?"

— Owszem. Niewiele, ale piękne. Dwie szerokie szmaragdowe bransolety — zupełnie identyczne — po jednej na każdej ręce. I jeden wspaniały pierścień z olbrzymim szmaragdem.

— „To już wszystko?"

— Prawie. Aha, jeszcze drobiazg... Zna pani skecz w Cyganerji, gdzie Gierasieński szaleje w orgji godnej nababa? Trwoni majątek, kąpie się w szampanie, banknotami tysiącdolarowemi zapala cygaro, a potem w lichym paletku wychodzi przed rampę i mówi płaczliwym głosem: „takby było, gdybym miał pieniądze". To tak właśnie jest ze mną. Ale myślę, że w mojej zeszłorocznej sukni też mogę wesoło przywitać Nowy Rok — a jak zechcę, to sobie poprostu wsiądę do pociągu *„dancing — narty — Sylwester"* — i pojadę... w „nieznane". Będzie grubo weselej i taniej.

Lustucru

REPORTAŻ SZKOLNY

My, Pierwsza... A

Każdy z nas niewątpliwie posiada szereg wspomnień z ławy szkolnej, które w perspektywie czasu nabierają wyjątkowego uroku. — Myśmy nie mieli reform (o reformie szkolnictwa słyszy się bardzo dużo i wie się bardzo mało — przeto mówi się o niej bardzo lekceważąco), ale myśmy byli inni!

Inni? A znacie naszych chłopców, znacie naszą pierwszą A, tę z reformy?

my pierwsza... A
broimy, że aż ha!

Od tych słów zaczyna się hymn naszej pierwszej, a dalszy ciąg przechodzi w „każdemu wolno kochać" i inne piosenki z polskich dźwiękowców, dozwolonych dla młodzieży, poczem cała sympatyczna banda śpiewa unisono najpopularniejszą zwrotkę: „tysiąc walecznych z pochodniami w ręku wpadło do klasy, narobiło brzęku, a pan profesor, spoglądając w lupę, upadł z krzesełka i stłukł sobie tysiąc walecznych z pochodniami w ręku..." Proszę mi wierzyć, że ta pobudka, wykonana przez chór pierwszej A, brzmi znacznie spontaniczniej, niż „frère Jacque, frère Jacque, dormez vous" i proszę również nie wyciągać fałszywych wniosków z tekstu, jakoby wesoła gromada nie żywiła szacunku dla swoich profesorów. Ten szacunek nie przypomina dawnego „moresu", kiedy to przed ciałem profesorskiem stało się na baczność, a za plecami płatało się okrutne czasem figle. Stosunek pierwszej A do swoich profesorów, jak mi łaskawie tłomaczył kolega Tomasz, jest taki sam, jak do rodziców: my się ich wcale nie boimy, ale my ich zato kochamy; bywamy więc bardzo, bardzo nieznośni, a potem jest nam troszkę przykro. Skutki takiej „miłości" bywają czasem katastrofalne (szkoła jest prawdziwą szkołą życia), niby grom z jasnego nieba spada wiadomość, że za niewłaściwe zachowanie grozi naszemu koledze wyrzucenie ze szkoły. Pierwsza A jest zrozpaczona! Pierwsza A pisze błagalny list do pana dyrektora, ażeby nie usuwał kolegi. Wszyscy koledzy kładą swoje podpisy na liście, i o dziwo, uczniów jest w klasie czterdziestu, a podpisów czterdzieści osiem.

— Powiedz mi, kolego Januszku, dlaczego wasza klasa jest najnieznośniejszą w całej szkole, dlaczego. —

Kolega Janusz nie pozwala skończyć:

— Losy nasze są istotnie poniżające: najpierw zdaliśmy konkursowy egzamin do szkoły państwowej, przesiedzieliśmy rok w pierwszej, przeszliśmy chlubnie do drugiej, a oto w trzecim roku jazda z powrotem do pierwszej! Trzeci rok jesteśmy najmłodszymi w szkole! Mamy się zachowywać poważnie? Mamy być przykładem? dla kogo? Może na przyszły rok, jak będziemy w drugiej, ale na razie mamy daleko ważniejsze sprawy na głowie, niż udawać grzecznych mamisynków.

A te „sprawy na głowie" to odrabianie lekcji, samorząd i „Troja".

Samorząd, który wprowadził tego roku pan profesor do naszej klasy, miał początkowo kolosalne powodzenie. Od pierwszej chwili na plenarnych posiedzeniach (co to za instynkt!) towarzystwo zachowywało się, jak w każdym innym parlamencie, wobec czego zarząd samorządu postanowił ograniczyć ogólne zebrania i kontentować się posiedzeniami zarządu. Na „zarządzie" zdecydowano rozpocząć działalność od kupienia firanek i kwiatów dla klasy, postanowiono też założyć własne pismo sportowo-humorystyczne i tygodnik fotograficzny, powstała również kasa pożyczkowa (jak kolega nie ma przy sobie pieniędzv na kajet lub cukierek) i jednogłośnie przeszedł wniosek kupienia losu na loterję — dziwna rzecz, ale pan profesor wniosek ten odrzucił.

W samorządzie istnieć musi sąd koleżeński, ale przy temperamencie młodych rozbójników taki sąd może wypaść dosyć dziwnie. Bo naprzykład, gdy pewien kolega, po wojennych zapasach w szatni, wrócił do domu mocno pobity, a mama poszła na skargę do szkoły, to nazajutrz „skarżypytę" wrzucono do umywalni pod kran. Mokrzuteńki wrócił do domu, i dopiero była awantura! Długo objaśniał pan profesor, że samosąd to nie jest sąd koleżeński. Wielu dorosłych nie jest w stanie zrozumieć tej różnicy, ale dzieci zrozumiały. Aferę „wodociągową" zlikwidowano, że się tak wyrażę, elegancko. Wszyscy winowajcy, a było ich sześciu, postanowili upokorzyć się i przeprosić, ale tylko mamę kolegi; kilku innych chłopców (oni nie maczali palców w tej wodzie, lecz byli neutralnymi świadkami kąpieli) przyłączyło się i — cały tuzin młodzieńców, jak to opowiadał kolega Ryszard, zakołatał do drzwi i serca tamtej mamy. Przyjęcie było bardzo serdeczne z podwieczorkiem i muzyką. „Ci co nie byli bardzo żałowali".

Młodzież szkolna żyje pod znakiem sportu. Od miesiąca pierwsza A żyje też pod znakiem Troi. „Przechodzili" o bogach i bohaterach greckich, a kochany profesor „Kuba" taki w nich wzbudził zapał do tej epoki, że zdecydowano ją odtworzyć własnemi siłami. Ci, co mają żyłkę dramatyczną, zabrali się do pisania scenarjusza, pod szumnym tytułem „Trojańscy bohaterowie".

To nie tak łatwo napisać dramat, nawet wtedy, gdy ma się temat. Musi być styl. W drugiej scenie pierwszego aktu znajdował się następujący zwrot: „Niegodny... ach czemuż! ach dlaczego... ach zaiste... pocóż to Parys nawalił małżonkę Menelausowi?" Gdy mama (te mamy muszą się wtrącać do wszystkiego) starała się wytłomaczyć wybitnemu autorowi, że nawalił jest zwrotem zanadto samochodowym, — Mamusiu! miałem napisać: buchnął, albo kiwnął? Trzeba mieć styl.





Wprawdzie, do pisania obrazu dramatycznego przystąpiło kilku chłopców, ale panu profesorowi doręczono tylko jeden egzemplarz:

— Bo jak Janek przyniósł gruby zeszyt, to reszta, która miała tylko po kilka kartek swojej Troi, nie pokazała wcale, ale — mówi Janusz — Janek też nabujał, bo tylko połowę zeszytu zapisał, więc teraz pan profesor kazał dopisać, bo za małe role. Poradziłem mu, żeby trochę przerobił z Wyspiańskiego „Achillesa" wiersze na prozę, jest łatwiej niż naodwrót.

Niemniej „Troja" Janka jest zupełnie à la hauteur.

Achilles (podchodzi do Agamemnona) — Trojańczycy nic mi nie zawinili, ani mię chłodzą, ani grzeją. Czyż li to mnie uwiódł ten gładysz i paniczyk trojański żonę? Czyż mnie i mojemu narodowi nie wszystko jedno, czy Helena siedzi u Parysa w Troi, czy u Menelausa w Sparcie? (toczy groźnie wzrokiem)...

Jak dalece jest obojętna Helena nietylko Achillesowi, ale i autorowi, dowodzi fakt, że zupełnie została pominięta w utworze scenicznym. Zresztą wogóle kobiety nie występują. Był to wielki zawód dla przyjaciela Andrzeja, który się palił do roli Heleny, lub maman Temidy... Przy rozdawaniu ról była też wielka „granda". Autor kierował się sympatjami i warunkami zewnętrznemi! Tego zdania był kolega Igor. Odrzucił więc rolę Achillesa! Powiedział, że nie będzie się wygłupiał w cudzych głupstwach! że może się uczyć na pamięć Homera, ale nie Janka!... Teraz to pewno żałuje, bo próby są bardzo wesołe: jak Achilles zabił Hektora, zanim zdążył Hektor powiedzieć całą kwestję, to Hektor tak pobił Achillesa, że Patrokles musiał z grobu wstać i oddał Odyssowi, w momencie, gdy Achilles miał powiedzieć (smętnie) — Witaj, witaj Odyssie, jakże się wam powodzi? — Kompanja trojańska boksuje się pierwszorzędnie, to się nie da zaprzeczyć! A jak wypadnie spektakl, w dekoracjach i kostjumach własnej roboty, o tem dowiemy się w przyszłości.

— O ile wogóle przedstawienie przyjdzie do skutku, bo teraz jest moda na ping-pong — mówi kolega Krzyś.

— W klasie?

— Podczas lekcji nie wolno. Konfiskują nam piłki, ale na pauzie to i profesorowie grają czasem z nami.

— Macie idealnych profesorów.

— Też są ludzie, też się lubią zabawić. Nie tak jak dawniej, że profesor musiał siebie i nas nudzić. Teraz i sam pan dyrektor jest człowiek. Przyszedł do naszej klasy i może nam wypominał, że jesteśmy tacy owacy, albo że obowiązek praca i pociecha dla rodziców i społeczeństwa? Mówił z nami o rozrywkach! Jak równy z równymi. Każdy mógł powiedzieć, co najbardziej lubi, czy teatr, czy kino, czy narty. Wogóle rozmawiało się. A jak się nas tak traktuje, to rozumie się, że warto być dobrym uczniem i pociechą dla społeczeństwa.

Pewno, że warto.

H. Jel.

„Littorina"

Waga 19 tonn, długość 22,5 metra, 80 miejsc, dwa motory po 120 K. M., szybkość do 140 km, oto w głównych zarysach rysopis „Littoriny", nowej córy zakładów włoskich „FIAT", która złożyła wizytę Polskim Kolejom Państwowym.

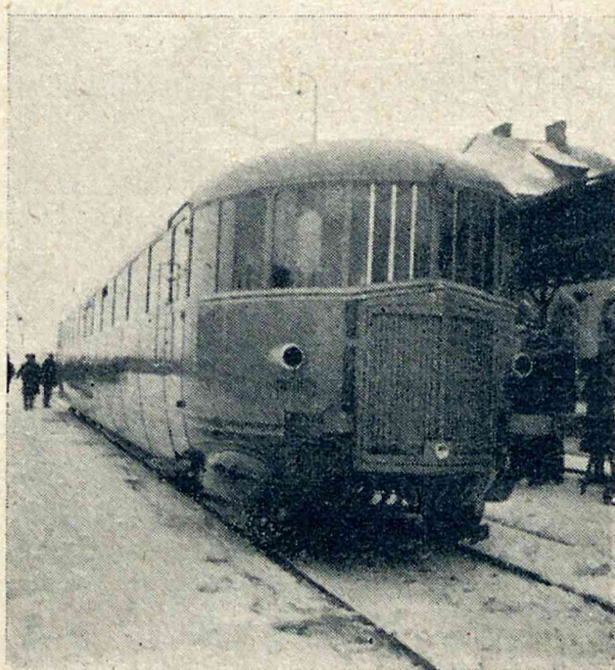
Motoryzacja kolei przez wprowadzenie szybkich i lekkich, ekonomicznie pracujących wagonów motorowych, zamiast ciężkich i kosztownych w eksploatacji pociągów, jest obecnie tematem rozważań naszych władz kolejowych. Wagony motorowe pracują już tytułem próby na kilku linjach drugorzędnych, oraz na linji Katowice — Zakopane. Próba „Littoriny" odbyta zimą, w niepomyślnych warunkach atmosferycznych, dała pod tym względem dużo ciekawego materjału.

Próba Kraków — Zakopane — szczególnie w jeździe powrotnej, przypominała nieco podróż kolejką w jakiemś Magic-City czy Luna-Parku. Krótkopromienne zakręty i serpentyny, położone w głębokich wykopach, z poza których nie widać drogi, zgubione wśród gór stacyjki, spadki i wzniesienia dochodzące do 30 „pro mille" i ciągnące się nieraz dziesiątkami kilometrów, nieustanny prawie świst syreny ostrzegawczej, przechyły na łukach, które „Littorina", trzeba przyznać w największym pędzie, brała świetnie, trzymając się drogi, jakby ją do szyn przyklejono, — robiły dość silne wrażenie. Jeśli wziąść pod uwagę, że normalny pociąg pośpieszny przebiega dystans Kraków — Zakopane — 144 km. — w 4 godz. 5 minut, a „Littorina" zrobiła go równo w dwie, zdobywając najgorsze wzniesienia w tempie 60 — 75 km/godz., to — bynajmniej nie strona sportowa, ale utylitarna samego przedsięwzięcia da się należycie ocenić.



Widok z pędzącej „Littoriny"

Powrót z Zakopanego do Krakowa nocą wśród śnieżycy był prawdziwą próbą sił, tryumfem geniusza ludzkiego nad potęgą natury. Z szybkością 90, 100, a niekiedy nawet 110 km/godz. pędziła Littorina wdół, to znów wspinała się wytrwale na zbocza Sieniawy czy Stronia. Daremnie śnieg usiłował zakryć białym całunem stalową wstęgę szyn, daremnie sypał zdradziecko z boku i kontrastową bielą powiększał jeszcze mroki nocy. Załoga włoska wykazała doskonałe opanowanie wozu i wielką pewność siebie, pracując w zupełnie nieznanych warunkach. A rywalizowali z nią chlubnie polscy inżynierowie i urzędnicy kolejowi, wykazując maksimum zimnej krwi i wiedzy fachowej.



„Littorina" na postoju

To też nic dziwnego, że niebawem ujrzano na horyzoncie światła Krakowa i podróż powrotna nie zajęła jednej minuty więcej od rozkładu.

Dodajmy do tego, że na linjach o łatwym profilu rozwijano szybkość na kolejach naszych jeszcze nigdy nieosiągniętą. Warszawa — Sierniewice — 66 km. — przejechano w 32 minuty, przyczem licznik miał raz wielką ochotę przeskoczyć poza podziałkę 140. W czasie podróży Warszawa — Kraków stację w Krzeszowicach przejechano w tempie 135 — aż dyżurny ruchu, stojący w przepisowej odległości dwuch metrów od toru, — odskoczył pod ścianę budynku.

Ale pamiętajmy, że szybkość ta, to nie suchy rekord sportowy, lecz ważny czynnik zbliżenia międzyspołecznego i gospodarczego, to oszczędność czasu — arcyważny atut w dziedzinie codziennego życia narodu, który ma pretensję do kultury i cywilizacji. Znaną jest rzeczą, że koleje są pulsem narodu, sprawdzianem jego sił żywotnych i ekonomicznych. Dlatego ubogie kraje i leniwe narody mają zawsze powolne koleje, podczas gdy u bogatych,



Załoga wykazała doskonałe opanowanie wozu

pracowitych i uprzemysłowionych szybkość wzrasta niemal z dnia na dzień. Walka toczy się tam nie o godziny, lecz o małe minuty.

Polskie koleje państwowe posiadły już trzy ważne elementy rozwoju i kultury: sprawność, komfort i bezpieczeństwo. Kiedy osiągną czwarty — najważniejszy bodaj — szybkość, staną się pierwszemi kolejami świata.

Jim Poker

IMIENINY

Pani domu w stylowej sukience z żorżety
Bawi gości przy stole wykwintnemi słowy.
Piękny serwis do kawy zdobi biel serwety.
I mieni się w kieliszkach napój rubinowy.
Moc kwiatów, stos prezentów otrzymanych w dani,
Mniej jednak cieszy, niż słoiczek kremu,
Co go złożył ktoś bardzo życzliwy dla Pani
I podał jej nieznaną nazwę Acticrème'u.
Więc się dzieli z Paniami tajemnicą cudną,
Jak zachować na długo piękno swej urody,
Jak usuwania zmarszczek poznać sztukę trudną
I jak nadać twarzyczce wygląd wiecznie młody.
Bo ten krem hormonalny o sile magicznej
Odmładza i odżywia skórę niesłychanie;
Więc, by więcej nas było o cerze prześlicznej,
Acticrème'u-Antiba używajcie Panie!

F. D.

FELIKS DANGEL

W NOC SYLWESTROWĄ

Hipolit powracał saniami do domu. Cicha noc Sylwestrowa pokryła granatową kopułą ośnieżoną ziemię, a gwiazdy, jak srebrzyste gwoździe nabite w brokat nieba, drgały mrużąc ślepięta i przeglądając się w ściętych mrozem kryształkach śniegu.

Hipolit był spokojny i radosny. Nieuleczalny optymista i marzyciel, puścił wolno lejce i jechał, rozmyślając nad dolą i niedolą ubiegłego roku...

— Tak, to przecie dzisiaj noc Sylwestrowa. Stary rok kończy się, nowy nadchodzi. Niema co żałować lat, które mijają.

W ubiegłym roku zimna i deszcze zniszczyły mu zasiewy, padły dwa konie, ubyło dwanaście miesięcy życia, a włosów siwych przybyło tyle, jak w żadnem z lat poprzednich. I syn, uniwersytet skończywszy, po tylu trudach, jako młody lekarz, pracy nie mógł znaleźć, z dolą się szamotał, a niedolą swoją ranił serce ojcowe... Ale to było w roku zeszłym. Ten rok nowy, ten trzydziesty czwarty będzie lepszy... Daleko lepszy... Suma cyfr ostatnich stanowi siedem, a siódemka zawsze była dla Hipolita szczęśliwą. Siódmego lipca (miesiąca siódmego) na ten świat przyszedł. Siódmego — ożenił się... Hm?! no tak, mój Boże... owszem, owszem, były i chwile szczęśliwe, nie można mówić. Kobieta zacna, a choć elokwentna, zato przez sen nie gada i tylko dwa razy w miesiącu piekło urządza... Niema się na co skarżyć, niema.

Siódmego syn mu się urodził i to było wielkie dlań szczęście. Kochał dziecko bardzo i potem już tylko dla chłopaka żył... bo własne uciechy w uciechach dziecka widział.

Rok przyszły w sumie cyfr ostatnich siódemkę ma...

— Może chłopak dostanie posadę, może podatki zmniejszą i może z Pelagją?...

Tak rozmyślając, minął las, wielki las sosnowy i wjechał na trakt stary, biegnący między zagajnikami...

Wtem koń, spokojna stara szkapa, zawsze do biegu leniwa i jedynie argument bata uznająca, szarpnął się gwałtownie i żonglersko wywijając nogami pobiegł lekkiego galopa.

— Cóż to!? wilki, nie wilki? Jakoś nie było słychać o nich w naszych stronach...

Ale koń biegł dalej, więc Hipolit porwał za lejce i konia zawrócił, by zbadać przyczyny spłoszenia się zwierzęcia...

Minął pierwsze jodełki zagajnika i wstrzymał konia zdumiony. Tuż, pod ośnieżonym krzem jedliny stało dzieciątko, małe, malutkie, prawie gołe, w szmatczynę jeno jakąś odziane, od chłodu się trzęsące.

— Trzeba nie mieć serca, by takiego brzdąca w noc mroźną i to prawie golusieńkiego na śnieg wypędzać...



— Kto ty jesteś, maluśki, i co tu robisz?

Dziecko przydreptało ku saniom.

— Ku ludziom idę, ku ludziom. Zabierzcie mnie panie.

Hipolit usunął się na siedzeniu, w sianie gniazdo uścielił, wziął małego w pół i kożuchem przykrył...

Zaciął konia i ruszył ostro ku domowi.

— Co za ludzie!? co za ludzie, by takie maleństwo na śnieg gonić.

— — — — — — — — — — — — — —

Gdy przyjechali do domu, dzieciak usiadł na polanie, tuż opodal komina, grzejąc się wesoło rozdrganemi promieniami ognia.

— Chcesz mleka?

— Niech będzie, chociaż dawniej to mnie winem goszczono.

— Co takiego?

— No winem... nie zna pan? Szampitrem...



Hipolit otworzył oczy tak szeroko, jak karp na półmisku.

— Co ty wygadujesz dziecko!? Ile ty masz lat?

— Jeszcze ani jednego.

— A któż ty jesteś?

— Rok Nowy...

Dziwnem to trochę zdawało się Hipolitowi, ale nie oponował, gdyż rezolutny brzdąc raczej go zaciekawiał, niż dziwił...

— Dawniej — mówiła mała figurka — i u pana bywało inaczej. Warszawka, panie, stolik zamówiony, kobiety, winko... o dwunastej ciemno, a potem wiwaty. Co? A dziś, dziś w domciu, przy kominku... W sypialnym pokoju żona przez sen gulgocze, a pan mnie mlekiem częstuje.

— A skąd ty wiesz, jak dawniej bywało?

— Phi!... panie, od tej starej plotkarki Historji, która nam jeszcze nienarodzonym takie rzeczy opowiada... Bryndza teraz u pana, co? —

— No, nie... a właściwie, ten rok ubiegły był fatalnym... Ty będziesz chyba lepszy.

— Tak pan myśli?

— Mam nadzieję...

— Panie Hipolicie, Nadzieja przez wiele, wiele lat była przełożoną domu niedorozwiniętych, a teraz poszła na emeryturę. Mylí się pan... nie będę lepszy od swego poprzednika.

— A cóż ty niesiesz z sobą dla ludzi ciekawego, dziecko?...

— Nic nadzwyczajnego... dalsze raty pożyczki narodowej, jeden lot do stratosfery, nowy rekord narciarski do góry nogami, dwie rewolucje w Ameryce, uroczystości pokojowe w Niemczech, trzęsienie ziemi w Japonji, orkan na Florydzie, kilka rozwodów gwiazd filmowych, jeszcze jeden film polski o żandarmach i Cytadeli, dalsza wojna na Dalekim Wschodzie, kilka marszów głodnych do różnych stolic, nowy podatek od przewidzianego dochodu z obrotu na rok 1940, parę rocznic zgonu czy narodzenia któregoś z naszych nieśmiertelnych...

— Dosyć, dosyć, to już było... ale coś nowego, coś bliższego nam samym tu u nas...

— Tu, u pana?! A no, syn pański, lekarz świeżo upieczony, znajdzie praktykę w powiatowym mieście Głyku za 110 złotych na miesiąc, dwa razy opiszą panu inwentarz i raz tylko przejdzie przez okolicę klęska gradobicia...

Nowy Rok śmiejąc się łobuzersko, — spojrzał na zegar stojący na kominku.

Na mnie już pora... Dziękuję panu, panie Hipolicie, bądź pan zdrów.

Hipolit zerwał się z fotela, chciał gościa zatrzymać, chciał go o coś prosić, ale ten rozwiał się jak mgiełka i przepadł.

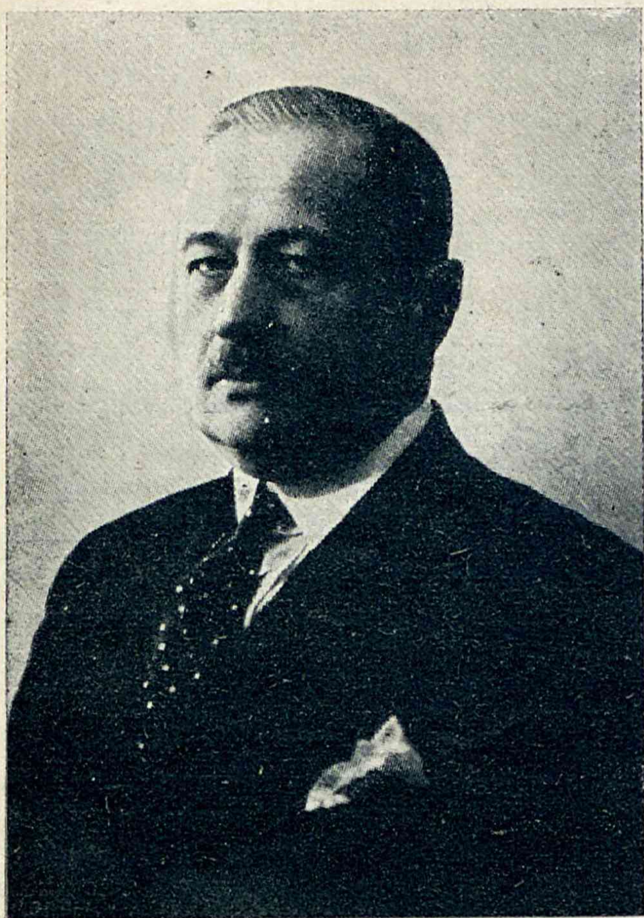
— Panie! Panie Nowy Rok! — wołał rozpaczliwie Hipolit i obudził się.

Szczapy na kominku dopalały się, a zegar ze zgrzytem zaczął wybijać godzinę dwunastą...

Ś. p. Jan Gombrowicz

W dzień wigilijny odprowadzono na miejsce wiecznego spoczynku Prezesa Centrali Zakupu Złomu Polskich Hut Żelaznych ś. p. Jana Gombrowicza.

Pełen osobistego uroku, którym w niezwykły sposób umiał zjednywać sobie otoczenie, posiadał Zmarły niepowszednie zalety charakteru i umysłu. Kochał gorąco kraj swój i przez całe życie czynił dobro. To też pozostawił po sobie na ziemi to, co człowiek najlepszego po sobie zostawić może: świetlaną pamięć i prawdziwie szczerą miłość tych, którzy Go bliżej znali, a która towarzyszy Mu



Ś. p. Jan Gombrowicz

w zaświaty. Piękne, niezapomniane rysy Jego charakteru podniósł w swem gorącem przemówieniu nad grobem Zmarłego, były Minister p. Darowski, zaznaczając:

„W latach 1900-ch była to już popularna postać w Sandomierskiem. Uczynny, dostępny i bardzo uspołeczniony. Znało Go nietylko ziemiaństwo okoliczne, lecz i masy robotnicze. To też w wypadkach politycznych 1905 — 1907 roku ś. p. Jan Gombrowicz odegrał wybitną rolę. W r. 1907 za współdziałanie z t. zw. republiką Ostrowiecką — o której przed niespełna 1 i pół rokiem pisał swoje wspomnienia ś. p. minister Boerner — został aresztowany przez władze rosyjskie. Po długotrwałym procesie, jednym z najgłośniejszych procesów politycznych owego czasu, skazany został na dwa lata twierdzy.

W ostatnich latach widzimy Go na stanowisku Prezesa Centrali Zakupu Złomu Polskich Hut Żelaznych, której to instytucji był organizatorem.

Oprócz znajomości rzeczy, dzięki wybitnym zdolnościom, umiał z wielkim taktem kierować tą organizacją hutniczą, prowadząc ją niezmiernie zręcznie w ciężkich chwilach depresji gospodarczej i omijając liczne podwodne rafy sprzecznych interesów — z dobrem zrozumieniem ogólnogospodarczych i państwowych potrzeb kraju".

Niezależnie od wybitnej pracy na polu hutniczem rozwijał ś. p. Jan Gombrowicz gorącą społeczną działalność, dążąc do umocnienia stanu naszego posiadania na morzu, w charakterze Wice-Prezesa Żeglugi Polskiej. W pięknem przemówieniu podniósł te Jego zasługi na tem polu Dyrektor Departamentu Morskiego p. Rostkowski.

Po znojnej, nieraz w obfite ciernie usłanej drodze żywota, niechaj spoczywa w dobrze zasłużonym spokoju i niechaj Mu umiłowana przez Niego ziemia lekką będzie.

ŁAPÓWKARZE PRZY PRACY!

Policja rosyjska na całym obszarze Królestwa Polskiego, a przedewszystkiem w Warszawie z niecierpliwością oczekiwała Nowego Roku. Był to dzień upragniony, w którym „dzielnym" stróżom bezpieczeństwa publicznego, całe miasto składało daninę w uznaniu dorocznych trudów i dla zapewnienia sobie „opieki" dostojnej władzy na drugi, zbliżający się rok.

Z rzadką u nas solidarnością daninę niósł zarówno: złodziej czy alfons, jak też kupiec, kamienicznik, słowem, każdy, który drogą mniej lub więcej legalną zabiegał o chleb codzienny. Czy niósł ją chętnie i dobrowolnie, o tem lepiej zamilczeć. Dość, że niósł, ku ogólnemu zadowoleniu panów komisarzy, rewirowych i stójkowych.

Policji rosyjskiej wogóle przez cały rok powodziło się nieźle. Aparat łapowniczy działał sprawnie, o czem niewtajemniczeni mieli bardzo słabe pojęcie. Zbyt to bowiem subtelna i zbyt skomplikowana była machina.



Gdy zbliżał się Nowy Rok, komisarze, naczelnicy, rewirowi, stójkowi wyciągali dłoń po należną daninę i czekali. Przyznać trzeba, że czekali cierpliwie, po dżentelmeńsku, z taktem, bez przypominania się, bez gróźb i wymuszeń. Wiedzieli, że każdy prawy i lojalny, jak również każdy pozostający w nieporozumieniu z kodeksem karnym obywatel przyniesie należną kolendę, bo inaczej...

Więc pierwsi spieszyli z kolendą właściciele i organizatorzy tajnych loterji i to z daniną bardzo poważną. Loterji takich było w Warszawie 21, w czem 18 żydowskich, a wszystkie opłacały się hojnie. Sam tylko naczelnik wydziału śledczego otrzymywał na Nowy Rok po 1.000 rb. od spekulantów na głupocie ludzkiej. Odpowiednie łapówki pobierali komisarze cyrkułowi, rewirowi zaś dostawali po 100 rb. za każdą klasę. Jedna taka kolenda wystarczyła, aby spokojnie i dostatnio powitać Nowy Rok.

Po właścicielach tajnych loterji szła długa lista tych, których urodził zaułek, wychowała ulica, a żywiła zbrodnia. „Winszowali" przeto wszelkich kategorji i klas paserzy, oraz alfonsi, właściciele popularnych ongiś spelunek, zwanych „pokojami umeblowanemi", opłacała się do dziesiątków tysięcy dochodząca liczba kobiet lekkiego prowadzenia. Te ostatnie zwłaszcza były najbardziej wyzyskiwane przez niższe organa policyjne. Kolendę w dziesiątkach i setkach rubli składali bardzo liczni przed r. 1905 a później konspirujący się właściciele domów publicznych. Stamtąd zacni stróżowie bezpieczeństwa i moralności wynosili złoto garściami.

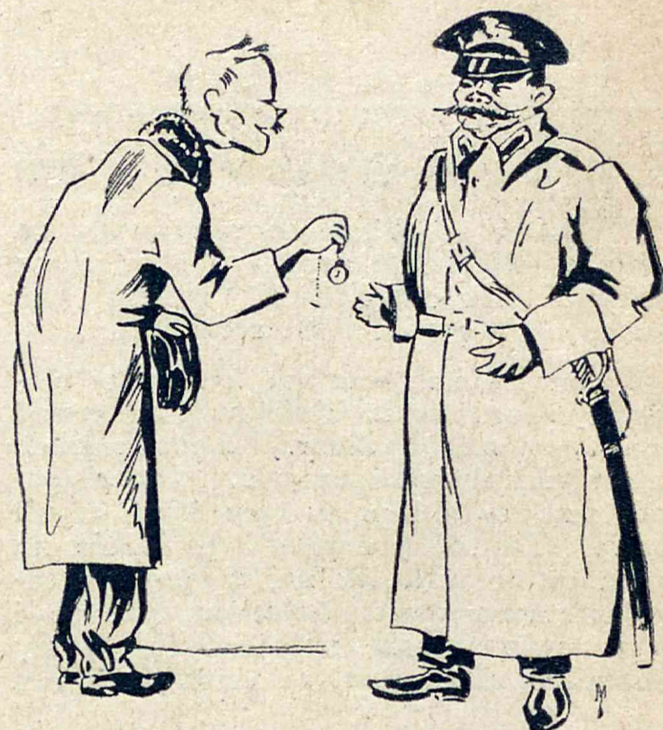
Po tej urozmaiconej liście następowała druga, legalna, lecz niemniej dochodowa. Opłacały się sowicie fabryki, właściciele restauracji wszystkich kategorji, kupcy kolonialni i sklepikarze, przemysłowcy, kupcy bławatni i wszelkich innych branż, oraz niemal wszyscy właściciele domów.

Płynęło złoto i banknoty, a do mieszkań znoszono wina, wódki, likiery, artykuły kolonjalne i smakołyki. Spiżarnia w okresie noworocznym zaopatrywała się na długo. Jeden rewir dawał rewirowemu od 700 do 1000 rb. dochodu. Zależało to naturalnie od klijenteli dany okręg zamieszkującej. W cyfry powyższe nie wchodziły datki w naturze.

Na tle noworocznego łapownictwa zdarzał się szereg nadużyć. Gangrena korupcji zarażała i osoby postronne, dowodem czego jest następujący przykład: Właściciele domów opłacali się policji pośrednio przez administratorów. Otóż ci, bardzo często, pobrawszy odpowiednie kwoty, dzielili się z rewirowymi, naturalnie bez ich wiedzy, lub zgarniali je w całości. Wypadki takie niejednokrotnie wychodziły na jaw, ku oburzeniu pokrzywdzonych dygnitarzy.

Jak dalece obfite były plony noworoczne, potwierdzić to można całym szeregiem znanych faktów. Jeśli komisarz, lub niższy funkcjonarjusz naraził się władzom, lub źle spełniał swoje obowiązki, następowała kara... Przed samym Nowym Rokiem otrzymywał translokację do innego cyrkułu. Nie miał już czasu na wyrobienie sobie odpowiednich stosunków, mieszkańcy nie liczyli się jeszcze z nowem naczalstwem i kolenda przepadała. Kiedy zaś ten lub ów rewirowy miał na pieńku z komisarzem, rozpuszczał po swoim cyrkule pogłoskę, że komisarz od Nowego Roku odchodzi. Wiadomość lotem błyskawicy obiegała cyrkuł, a pan komisarz napróżno oczekiwał widomych dowodów pamięci. Zemsta tryumfowała.

A jeśli znalazł się człowiek tak nieostrożny, że w dzień noworoczny zapomniał o swojem naczalstwie? Wtedy nie robiono mu wymówek. Przeciwnie. Policja okazywała się bardzo uprzejma, lecz równocześnie bardzo sumienna i obywatel narażał się na grubsze nieprzyjemności, albo wkrótce znajdował się... w kozie.

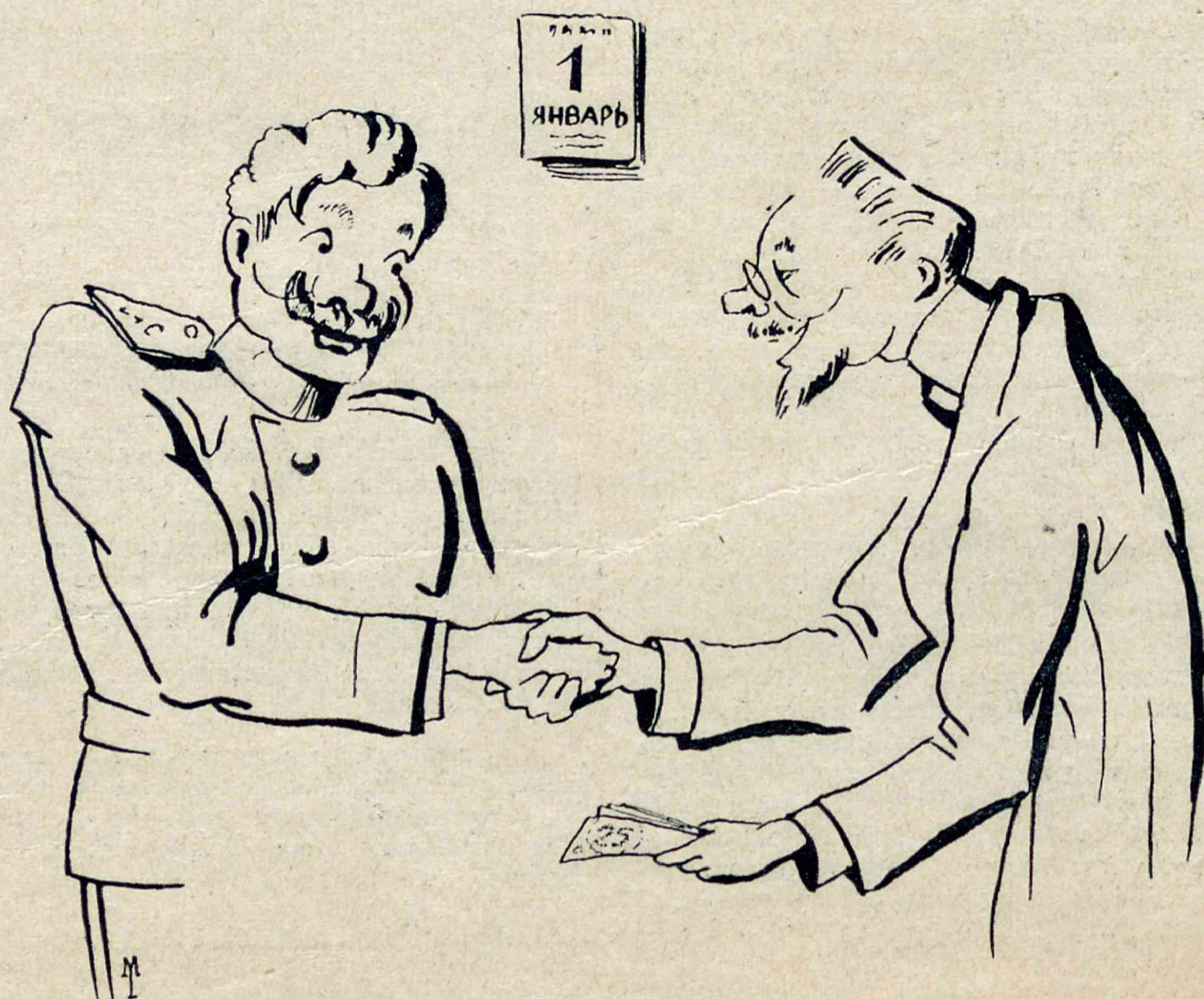


Bardzo pokaźne kolendy otrzymywał także wydział śledczy. Na każdy cyrkuł wypadało dwóch agentów, których przez cały rok opłacano sowicie, nie zapominając naturalnie i o naczelnikach.

Największe zyski ciągnięto z zawodowych szkół złodziejskich dla małych chłopców, zwanych „konikami". A było ich kilka w Warszawie. Tak np. szkoła Herkmana przy ul. Niskiej płaciła na Nowy Rok pomocnikowi naczelnika wydziału 200 rb. i odpowiednie sumy agentom. Nadto dostawali oni pamiątki w postaci papierośnic, zegarków, pieścionków, ukradzionych w Moskwie, lub Kijowie. W podobny sposób i podobnemi sumami opłacały się szkoły złodziejskie Wiszni, Szwarckopfa i innych. Złodzieje wszystkich kategorji kolendowali oddzielnie.

Do bardzo poważnej klijenteli należeli kasiarze, cieszący się w światku złodziejskim opinją magnatów i należący do arystokracji zawodowej. Nadto wydział śledczy i XI cyrkuł miały poważne dochody od potajemnych bookmacherów, operujących na polu Mokotowskiem. Dzielili się oni na dwie kategorje — zarabiających do 2000 rb. i zarabiających do 20.000 rb. Ta druga kategorja dawała (a było ich blisko 60) po 150 rb. komisarzowi i po 100 rb. rewirowemu, nie licząc sezonowego prawa wstępu na wyścigi, które kosztowało 400 rb.

Nie od rzeczy będzie podać małą statystyczną tabelkę, obrazującą, w przybli-





Jadwiga Smosarska w roli tytułowej w filmie: „Prokurator Alicja Horn" wytw. Leo-Film



żeniu naturalnie, kolendowe wpływy. Są to cyfry zaledwie przybliżone, do których dochodził jeszcze znaczny procent drobniejszych łapówek.

Na Nowy Rok pobierało:

15 komisarzy	150.000 rb.
30 pomocników komisarzy . .	150.000 „
200 rewirowych	60.000 „
Pomocnik naczelnika wydziału śledczego	25.000 „
30 agentów wydziału . . .	9.000 „
Naczelnik komisji sanitarnej .	5.000 „
3 jego pomocników	6.000 „
8 dozorców wydziału . . .	4.000 „
Policja rzeczna	4.000 „
Urzędnicy kancelarji . . .	40.000 „
Razem . .	453.000 rb.

co w stosunku procentowym do ludności wynosiło przeciętnie po pół rubla od jednego mieszkańca.

W sam dzień Nowego Roku wszyscy funkcjonarjusze policji jechali składać życzenia oberpolicmajstrowi, u którego podpisywali się w specjalnej księdze i wracali do cyrkułów, gdzie winszowano komisarzowi i odbywało się skromne przyjęcie. Komisarz, zależnie od tego jak przedstawiał się plon noworoczny, wyrażał podwładnym podziękowanie za „wierną i gorliwą" służbę, lub też polecał sumienniej spełniać obowiązki.

j. s. w.

MARIO MARIANI

Tajemnicza dziewczyna

(Nowelka)

„Blada twarz i czarny woal". — Z pod czarnego woalu widać tylko dwoje aksamitnych oczu, tak czarnych i tak dużych, że zajmują prawie połowę twarzy. Cała, zdawało się, była w tych oczach.

Ale oczy te jakby nie widziały.

Wpatrzone były we własne dalekie myśli. Często miała je przymknięte, a ciężkie duże powieki przypominały wtedy dwie białe muszle, cień zaś od długich, wilgotnych rzęs, przyprawiał o dreszcze. Czuło się niepokój, patrząc na nią, jej jednak nic nie wyprowadzało z równowagi.

Miała lat szesnaście, i tworzyła odrębny świat, do którego nikt nie był dopuszczany. Dusza jej była zamknięta bardziej, niż oczy, stale przysłonięte ciężkiemi powiekami. Nie rozmawiała prawie nigdy, a gdy zdarzało się jej coś powiedzieć, to słowa padały, jak krople deszczu, powolne, zmęczone.

Cóż spowodowało to znużenie, tę przedwczesną dojrzałość w wiośnie życia! Zdawało się, że toczy ją jakaś straszna ukryta choroba, lub że jakaś tajemnicza a zła siła wysysa z niej w nocy krew z żył. Nie miała w sobie nerwu życia. Była jak spokojny staw, w którego stojącej wodzie przegląda się księżyc.

A jednak...

Nazwałem ją „tajemniczką", nim poznałem jej tajemnicę.

Ubierała się zawsze czarno, zupełnie czarno.

Tajemniczka! Była jak nokturn Szopena, sonata D-dur, Hamlet w spódniczce.

Gdy, patrząc na nią z wysokości moich trzydziestu lat, zapytywałem po ojcowsku: „Biedny Kociaku, coś ci jest?", uśmiechała się zagadkowo, spuszczając olbrzymie powieki, wpatrzona w swą tajemnicę.

Innym razem znów zapytałem:

— Tajemniczko, dlaczego jesteś taka daleka?

— Ja daleka?... Dlaczego pan tak przypuszcza?

— Więc, czemu nic nie mówisz?

— Święty Boże!... Cóż mam mówić?

Kiedyś znów zadałem jej pytanie:

— Czy pani myślała kiedy o miłości?

— Miłość?... A cóż to jest miłość?

W głosie jej poczułem drgnienie.

Żyła jakby poza życiem, a chłodem swym płoszyła miłość wokoło siebie. Grała ładnie na fortepianie, a lubiła specjalnie Szuberta. Jeżeli zdarzyło się, że na jakiemś zebraniu zbliżył się do niej mężczyzna, by powiedzieć coś miłego, to szorstko go z miejsca odpalała i, uśmiechając się smutno, mówiła:

— Na miłość Boską! Niechże i pan nie robi z siebie błazna... Musi pan wiedzieć, że na mnie te wszystkie głupstwa nie działają!

I nagle przybierała taki rozdrażniony i jednocześnie pogardliwy ton, że trzeba było zamilknąć. I znów opuszczała powieki, zamykając się w sobie.

Matka jej mawiała: — Zbyt poważna jest na swój wiek, napewno zechce wstąpić do klasztoru.

Ojciec zaś, myśląc, że jest chora, zabierał ją na długie spacery.

Lekarz mawiał: — „Mój Boże! No... jest trochę anemiczna... ale obecne dziewczęta są prawie wszystkie takie. Poza tem najzdrowsza w świecie.

Mieszkaliśmy w jednym domu.

Okno mojego pokoju było położone nawprost jej okna.

Te okna wychodziły na ciasne, ciemne podwórze.

Dom był stary, mury brudne, odrapane.

„Tajemniczka" i ja mieszkaliśmy na czwartem piętrze, a podwórze, gdy się na nie patrzyło z góry, wydawało się jakąś bezdenną studnią. Inni lokatorzy rzadko ukazywali się w oknach. Gdy im się to zdarzało, cofali się wystraszeni, raptownie spuszczając żaluzje.

Pocóżby mieli spoglądać w ten ciemny grób, gdy rozporządzali jeszcze oknami frontowemi, wychodzącemi na słońce i ulicę.

W podwórzu musiała być kiedyś studnia, o czem świadczyły żelazne klamry, wbite w mur, o których stary dozorca domu mawiał, że służyły ongi, jako oparcia dla lin, ciągnących wodę na wyższe piętra.

Byłem w owych czasach miłośnikiem nocy, zresztą byłem nim zawsze. Gdyż w duszy mam tylko gwiazdy. Gwiazdy dalekie, które mi nigdy nic złego nie zrobiły. Cicha noc, darząca samotnością i kochaniem, oto jedyne dwie rzeczy, dla których żyć warto. Uwielbiam noc i dlatego jeszcze, że skoro przynosi ona dobrą radę, to wsłuchać się w nią należy, czuwając.

Pewnej nocy wydało mi się, że słyszę jakiś szmer w podwórzu. Było już późno, może trzecia nad ranem. Spojrzałem przez spuszczone żaluzje. Światło w moim pokoju było zgaszone.

Padał deszcz, tylko od czasu do czasu, poprzez spiętrzone chmury, przezierał blady promień księżyca.

Spojrzałem na podwórze. Ujrzałem jakiś cień, zwieszający się nad przepaścią. Dwoje okien było otwartych: okno studenta-prawnika z trzeciego piętra i okno „tajemniczki". Sądziłem z początku, że to zakradł się złodziej, lecz kiedy ujrzałem w blasku księżyca, „tajemniczkę", wychylającą się przez okno, z twarzą bledszą, niż kiedykolwiek, w szalu zarzuconym na obnażone ramiona, zrozumiałem.

Więc ten chłopak z trzeciego pię-

tra prawie co noc życie swoje narażał w straszliwej wyprawie powietrznej, trzymając się starych, zapomnianych, sterczących gdzieniegdzie w murze, haków żelaznych.

Śledziłem go oczami, wstrzymując oddech, jak ta dziewczynka... Najmniejszy nieostrożny ruch! I tylko głuche uderzenie, strzaskana czaszka o kamienie podwórza, i jedna miłość stracona. Teraz poznałem już jej tajemnicę, i zrozumiałem jej bladość.

Miłość, niepokój każdej nocy, kiedy drżała o życie kochanka... I ukryte rozkosze wszystkich nocy...

— „Tajemniczko", czy myślałaś kiedy o miłości?

— Miłość?... A cóż to jest miłość?

— Jest to młodsza siostra śmierci, ale żeby o tem wiedzieć, trzeba czuwać nocą za przymkniętemi oknami, które wychodzą na ciemne podwórze...

— Święty Boże!... Więc pan wie... Na miłość Boską nie zdradź mnie!

— Ja?... Ależ ja nikomu o niczem nie powiem. Ja ci daję, kociaku, moje błogosławieństwo... tylko należałoby znaleźć inny sposób... Niechże pani pamięta... którejś nocy... gdy wracać będzie... zmęczony... Pani rozumie... wyczerpany, może się zabić.

— Jakże więc zrobić?... Niema innego sposobu... Jestem tak pilnowana!... Świat jest taki zły!...

Tłomaczyła z włoskiego
Stefanja Peltynowa



ROZWAŻANIA ŚWIĄTECZNE

Nie ulega wątpliwości, że w nowych domach ilość posiadanych radjoaparatów zwiększa się szybko. Ten radosny objaw nie wynika z ducha postępu u mieszkańców nowych domów — są to raczej ofiary przedziwnych właściwości akustycznych nowoczesnego budownictwa.

Można na próbę w takim domu rzucić w mieszkaniu na trzecim piętrze igłę o podłogę, a lokator na parterze usłyszy ten szmerek zwielokrotniony do potęgi, jako huk spadającej cegły.

Taki żelazo-betonowy barak składa się zazwyczaj z setki małych mieszkań, wystarczy więc by znalazł się na początek tylko jeden złośliwy szaleniec, który zdobędzie się na odbiornik z wrzaskliwym głośnikiem — a już po 2 dniach jego sąsiad, po bezskutecznej rozmowie z zarządcą domu i adwokatem, pędzi do sklepu po radjo z głośnikiem o sile conajmniej 100 koni.

— Ja ci sprawię koncert! — szepce ze złym uśmiechem i montuje nowonabyte monstrum. Potem już żadna morowa zaraza nie szerzy się tak szybko, jak radjomanja w tym domu. W miesiąc po wybryku pierwszego szaleńca wszyscy nieszczęśliwi mieszkańcy mają własne aparaty o niesamowitych głośnikach. Porzucają pracę, rozrywki i kręcą do upadłego krążkiem, by przekrzyczeć głośniki bliźnich.

Co nerwowsi mijają ten zwarjowany dom, przechodząc na drugą stronę, chodnik na tym odcinku zamiera, a sklepy bankrutują. Tylko czarno ubrani panowie, ponurzy agenci zakładów pogrzebowych, kręcą się w pobliżu, czując klijentów.

Nie bez powodów podajemy ten wstrząsający opis tragedji niejednego domu — właśnie teraz, podczas rozważań nad zmianami ustawodawstwa radjowego. Warto wziąć to pod uwagę. *Jelaud.*

Podbiegunowa groza na ekranie

W kinie „Majestic" wyświetlany jest obecnie wszechświatowej sławy, podbiegunowy film „S. O. S. Góra lodowa". Obraz odbiega daleko od najartystyczniejszych szablonów, bo atelier zastąpiło prawdziwe życie. Pokazano nam kraje podbiegunowe takie, jakiemi one są, bez tricków i wyreżyserowanych sztuczek.

Zasługa to dwóch ludzi — reżysera Rod La Roque i zmarłego niedawno słynnego badacza podbiegunowego Rassmussena, który objąwszy naukowy protektorat nad zdjęciami, przyczynił się niewątpliwie do realizmu zdjęć. W „Górze lodowej" aktorzy i konflikt dramatyczny schodzą na plan drugi — gra natomiast północ z całem swojem martwem pięknem i mroźną grozą. Wspaniałe widoki pól śnieżnych, pękanie lodów, rozsypywanie się w pył lawin i erupcje gór lodowych składają się na obraz niesamowity i przepiękny zarazem. Zdjęcia wykonane z niezwykłą czystością, żywe i malownicze w swojej martwocie pozostawiają niezapomniane wrażenie, zaliczając film do arcydzieł ekranu.

Programu dopełni kolorowe arcydziełko rysunkowe Disney'a „Święty Mikołaj" i pyszna, również rysunkowa parodja najgłupszego pod słońcem filmu „King-Kong" przewyższającego naiwnością nawet nasze krajowe „przeboje". *w.*

Tydzień propagandy Esperanta



Na inaugurację Tygodnia Esperanta odbyła się w Warszawie akademja, podczas której przemawiał prof. O. Bujwid z Krakowa o znaczeniu tego języka dla propagandy kultury polskiej zagranicą, J. Jarecki o pięknie i budowie Esperanta i E. Rytenberg o zdobyczach esperanckich w świecie. Fotografja nasza przedstawia prezydjum akademji. Siedzą od lewej: 1) Dr. Wilhelm Róbin, 2) Inż. Jan Skrzypiński — v.-prezes Pol. Tow. Esp., 3) v.-wojewoda Olpiński, 4) profesor Dr. Bujwid (Kraków), 5) Radca Wachowski, 6) Halina Weinstejnówna — Del. U. E. A., 7) Tadeusz Szwajs — prezes T. L. K. P. (Światowa Liga Bezpieczeństwa). Stoją: 1) Redaktor P. A. T.-ej p. Pisarski, 2) Mgr. B. Strelczyk, 3) Juljan Jarecki, 4) Eugenjusz Rytenberg



— A dolar leci na łeb!
— To klawo! Jak będzie wart dwie dycliy, to sobie zafunduję kolacyjkę z Gretą Garbo i Jeanette Mac Donald.

Europejska komunikacja podmiejska

Wielką bolączką okolic podmiejskich jest brak odpowiedniej komunikacji. Osławione z brudu i powolności kolejki, odstraszyły ostatnio pasażerów cyklem katastrof. Brak komunikacji autobusowej, we współczesnem tego słowa znaczeniu, naraża mieszkańców okolic podmiejskich na szalone niewygody i tamuje rozwój osiedli podwarszawskich.

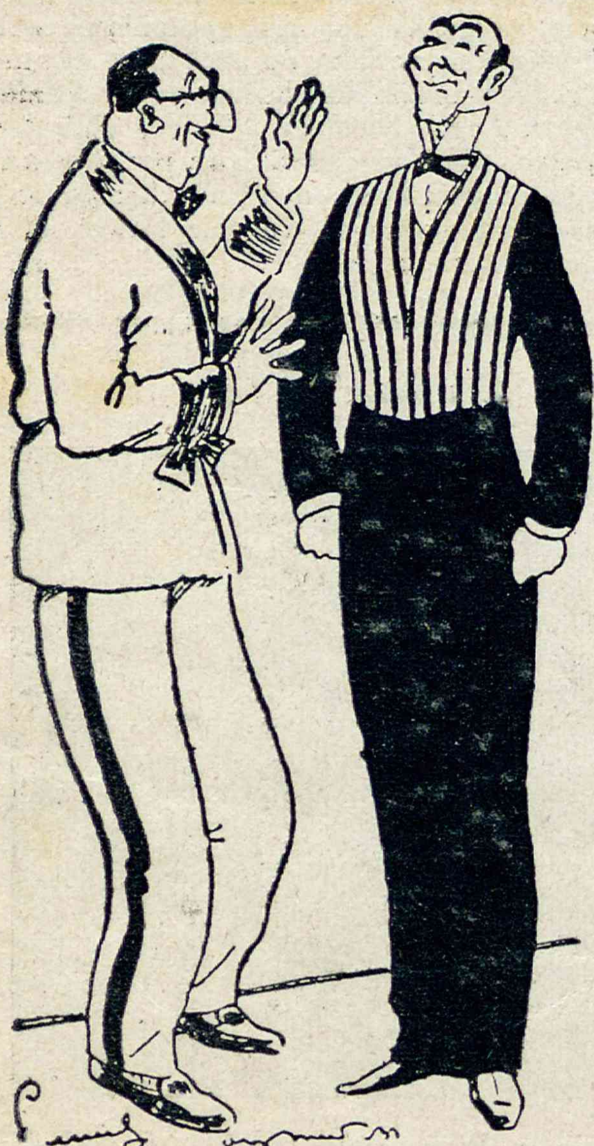
Wyjątkiem jest kolejka elektryczna „Warszawa — Grodzisk", stanowiąca świetną komunikację na tym odcinku. Właściwa szybkość dba o ekonomję czasu podróżnych, wygodne, czyste i dobrze ogrzewane wagony nie czynią udręki z przejażdżki, obliczonej w dodatku według minimalnej taryfy, co ma ogromne znaczenie przy dzisiejszym kryzysie.

Kolejka „Warszawa — Grodzisk" cieszy się uznaniem licznych mieszkańców podmiejskich i byłoby bardzo pożądane, aby objęła eksploatację i innych linji, oddalonych dzięki średniowiecznym metodom komunikacyjnym jakgdyby o dziesiątki kilometrów i czyniących każdy wyjazd uciążliwą i nieznośną podróżą.

Obecnie Zarząd E. K. D. wprowadził następujące ulgi: obniżył cenę 10-cio przejazdowych biletów do Pruszkowa z 8-miu na 7 zł.; nadto teraz mogą korzystać z tych biletów 2 osoby jednocześnie.

Na linji Warszawa — Włochy obniżono jednorazowy przejazd z 40 gr. na 35 i wprowadza się tytułem próby ulgi dla urzędników państwowych — 50% zniżka przy biletach miesięcznych.

Również zostały wprowadzone bilety narciarskie do Podkowy Leśnej i Komorowa po 2 zł. za bilet powrotny. Z biletów tych korzystać będą osoby posiadające legitymację Pol. Zw. Narciarskiego, poświadczone na bieżący rok.



— Zmuszony będę rozstać się z jaśnie panem; wygrałem właśnie miljon na loterji!
— Nie rozstaniemy się, mój Konstanty. Teraz ja do ciebie pójdę za lokaja...

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIELKI KONKURS ŚWIĄTECZNY

W numerze bieżącym zamieszczamy dokończenie naszego „Wielkiego Konkursu Świątecznego", za trafne rozwiązanie którego redakcja „Świata" przyzna drogą losowania 10 cennych nagród. W losowaniu zostaną uwzględnieni ci Czytelnicy, którzy od dnia 1 kwietnia aż do końca roku bież. zdobyli przynajmniej po 50 punktów.

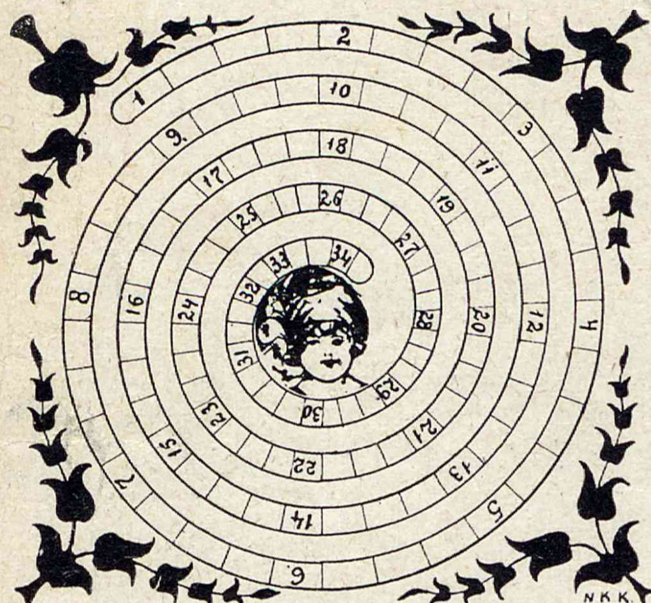
Spis nagród ogłoszony zostanie w połowie stycznia 1934 r.; rozwiązania nadsyłać należy do dnia 20.I. p. r.

Dla biorących udział w konkursie Czytelniczek naszych zamieszkałych w Warszawie jako nagroda przyznana będzie wieczna ondulacja w znanym ZAKŁADZIE FRYZJERSKIM p. f. „AS".

№ 185 (287) ŚLIMACZNICA

Ułożył N. K. Kozłowski

(Za rozwiązanie 10 punktów)



Wpisać w kratki ślimacznicy 34 wyrazy, których końcowe litery, będące zarazem początkowemi wyrazów następnych, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

1. Pieśń, głos harmonijny. 2. Letnisko w wojew. Wileńsk. nad rz. Wilją. 3. Egipska bogini przyrody. 4. Świadectwo piśmienne lub drukowane. 5. Czerep, skorupa. 6. Rzemień u strzemienia. 7. Mała knieja, matecznik. 8. Kultura obyczajowa. 9. Przegląd wojska. 10. Góra w hr. Inverness, w Szkocji. 11. Miasto powiatowe na Ukrainie nad rz. Mżą. 12. Imię żeńskie. 13. Paragraf, ustęp (c = ć). 14. Nakładać cenę, taksować (wspak). 15. Przytłumiony śmiech. 16. Chrust, suche gałęzie. 17. Obce, nie swoje. 18. Miasto w Anglji, słynny tor wyścigowy. 19. Gustowny, elegancki. 20. Miasto we Flandrji nad rz. Yperlee. 21. Jama między szczękami u konia. 22. Rozkaz sułtański. 23. Sekretarz kr. Stanisława Augusta 1810—1873 r. (wspak). 24. Zraziki bite. 25. Państwo w Azji. 26. Najstarsze pokłady trzeciorzędowe. 27. Imię biblijne. 28. Postępuje naprzód. 29. Kopalnia węgla w Nigerji płd. 30. Część twarzy (3 p. l. m.). 31. Lemur, makao. 32. Przysł. „wiele". 33. Pustelnia. 34. Zaim. osobowy (l. mn.).

№ 186 (288) Metamorfoza

Ułożyła „Tacobyła"

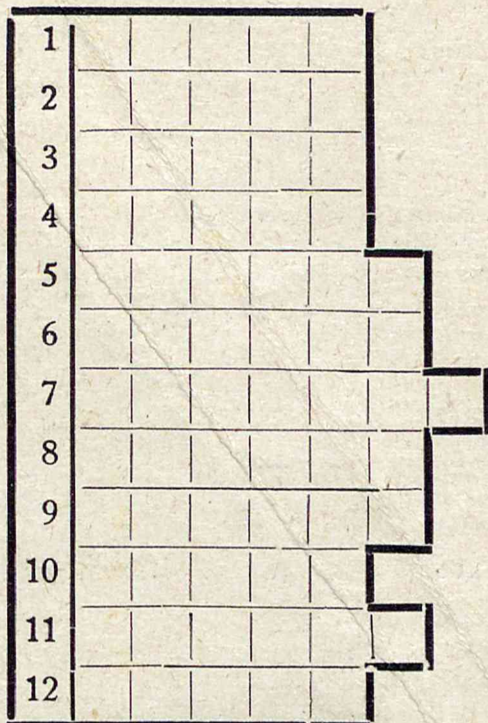
(Za rozwiązanie 5 punktów)

W zdaniu: MŁODY PROKOP ŁUPET SĄDZIŁ OBIEDWIE poprzestawiać litery tak, aby powstało znane polskie przysłowie.

№ 187 (289) ELIMINATKA

Ułożyła Klementyna Hyc

(Za rozwiązanie 5 punktów)



W daną figurę należy wpisać 12 wyrazów poziomych o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), będącego nazwą gatunku kopalnej żywicy stwardniałej. Pozostałe litery, czytane od góry ku dołowi, dadzą rozwiązanie.

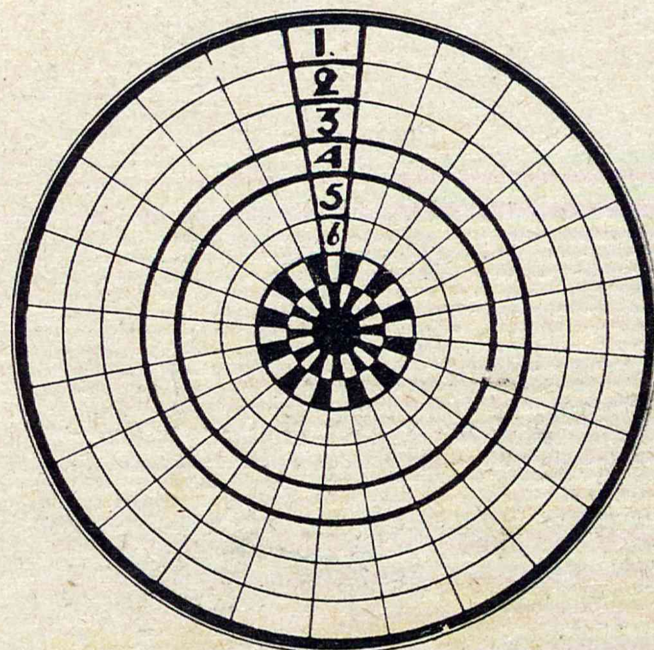
Znaczenie wyrazów:

1. Rzeka piekieł w świecie podziemnym. 2. Drogocenny kamień. 3. Wybujały, rozrosły. 4. Instrument muzyczny (l. mn.). 5. Człowiek, mający dozór nad garderobą. 6. Ciężki do uskutecznienia. 7. Niegiętki, nieruchawy, drętwy. 8. Bóg czasu. 9. Kamień szlachetny. 10. Kolędnik, przebrany za zwierzę. 11. Tłusty, spasły. 12. Elegje, żale.

№ 188 (290) MOZAIKA

Ułożył „Duet"

(Za rozwiązanie 5 punktów)



W podaną figurę wpisać dośrodkowo 23 wyrazy tak, aby litery w czwartym rzędzie dały rozwiązanie. Prosimy o wszystkie wyrazy pomocnicze.

Znaczenie wyrazów:

1. Barwnik. 2. Zwierzę. 3. Imię męskie. 4. Broń sieczna. 5. Ciało krystaliczne, otrzymywane z olejku miętowego. 6. Bóstwo starożytne. 7. Topienie przestępców politycznych we Francji zapomocą łodzi z dnem ruchomem. 8. Trzcina bambusowa. 9. Ciężki nóż malajski. 10. Miasto w Polsce. 11. Bezdymny proch angielski. 12. Kęs, kawał. 13. Dojeżdżacz na łowach. 14. Gatunek tkaniny bawełnianej. 15. Usługa. 16. Imię męskie. 17. Ptak nocny. 18. Bezsilność, niemoc. 19. Instrument muzyczny. 20. Taniec. 21. Przedział między wierszami. 22. Rodzaj pieczywa. 23. Sygnał myśliwski na trąbce podczas polowania z ogarami przy dościganiu.

C Z O S N E K

N A T U R A L N Y   Ś R O D E K   L E C Z N I C Z Y

Na zachodzie, a szczególniej we Francji i Niemczech oddawna są prowadzone badania naukowe nad działaniem czosnku na chory i osłabiony organizm ludzki. Po bliższem zapoznaniu się z tą rośliną nie można znaleźć słów potępienia dla lekkomyślnego zapomnienia czosnku — tego, jak mówi tajny radca zdrowia Doktór Tilger — „eliksiru życia".

Czosnek znany był już w Egipcie jako czczona lecznicza roślina. Talmud poleca go przeciw niemocy płciowej, Hipokrates, ojciec medycyny, zalicza go do cennych leków o szerokim zakresie działania: znany i ceniony przez lekarzy starożytnego Rzymu, ulubiony lek medycznej szkoły arabskiej, szeroko stosowany w średniowieczu, został z wielu innemi lekarstwami roślinnemi zarzucony w XIX stuleciu. Lecz niepodobieństwem byłoby, aby doświadczenia tysięcy lat stosowania czosnku zostały zapomniane na długo.

Wraz ze zwrotem medycyny ku lekom naturalnym pojawiły się prace kontrolne nad działaniem tej rośliny i jej nadzwyczajnych własnościach leczniczych. Obecnie można zacytować dziesiątki prac lekarzy o dodatniem działaniu czosnku przy cierpieniach zakaźnych wywołanych osłabieniem siły życiowej organizmu, wadliwej przemiany materji, sklerozie, dusznicy, zgorzeli płuc, cierpieniach przewodu pokarmowego, biegunkach, nieżytach oskrzeli i płuc a nawet gruźlicy.

Czosnek zalecany chorym z miażdżycą tętnic, już wkrótce po rozpoczęciu kuracji łagodzi przykre dla chorych objawy. Ustają bóle i zawroty głowy, mroczki przed oczami, zaparcia, bezsenność, uczucie lęku, ogólny stan depresji i inne objawy towarzyszące miażdżycy. W krótkim czasie następuje przypływ energji życiowej, dobrego samopoczucia, powrót zdolności do pracy, co w związku z zahamowaniem procesów sklerotycznych daje poniekąd obraz procesu odmładzającego; stosowany przy schorzeniach dróg oddechowych, szybko łagodzi najbardziej uporczywy kaszel nawet wówczas, gdy inne środki zawiodły; zmniejsza wydzielanie się flegmy i ułatwia wykrztuszenie umożliwiając chorym spokojny sen. Nadaje się zwłaszcza przy przewlekłych nieżytach oskrzeli, górnych dróg oddechowych i wszelkiego rodzaju t. zw. zaziębieniach.

Działanie czosnku na niestrawność jelit jest jedyne w swoim rodzaju. Śluzówka i gruczoły przewodu pokarmowego ulegają swoistemu przestrojeniu i wyleczeniu, dzięki czemu mogą one eliminować nienormalne mikroorganizmy.

Wkrótce po podawaniu czosnku ustępują ucisk, bóle, niepokój, wzdęcia, ustają nieprawidłowa fermentacja i szkodliwe procesy gnilne.

Ostry smak i zapach oraz niemiłe następstwa jak np. zgaga zniechęcały wielu od zażywania czosnku. Zwykle stosowana nalewka, posiadająca dużo alkoholu i ekstrakt sporządzony na gorąco, nie posiadają zalet surowego czosnku.

Przedsięwzięte w Laboratorjum Apteki Mazowieckiej dłuższe badania wykazały, że najodpowiedniejszą formą czosnku jako leku jest specjalnie preparowany sok — Succus Allii sativi.

Po żmudnych i długotrwałych pracach udało nam się opracować metodę, dzięki której możemy otrzymać naturalny utrwalony sok świeżego czosnku zawierający energję leczniczą rośliny żywej, bez jej cech ujemnych.

Pobieranie tego soku trzy razy dziennie po 15 — 20 kropli na wodzie lub mleku nie sprawia żadnej przykrości, nie wywołuje zgagi, odbijania się i specyficznego zapachu z ust, tak przykrego dla otoczenia.

Jest to preparat zupełnie nieszkodliwy, wielokrotnie podawany nawet małym dzieciom przy kaszlu i zaziębieniach.

Dla ochrony przed naśladownictwem zaopatrzyliśmy nasz preparat marką F. F. na co przy nabywaniu prosimy zwrócić uwagę.

Obszerną broszurę o kuracji czosnkowej oraz nasz Przegląd Leków Naturalnych wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

APTEKA MAZOWIECKA

DOKTORA A. SKLEPIŃSKIEGO

DZIERŻAWCA PROW. FARM. CZ. FINK-FINOWICKI

WARSZAWA, MAZOWIECKA 10

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa